Zapraszamy do wielkiego konkursu pt.

„Z mapą w terenie"

Oto nagrody: ◆ ROWER ◆ NAMIOT DWUOSOBOWY ◆ 3 MATERACE NADMUCHIWANE ◆ 5 KOCHERÓW ◆ 10 KOMPASÓW ◆ 20 KSIĄŻEK.

Szczegóły — patrz str. 10—11.

Wszystkim, którzy nas czytają i lubią — jak również tym, co dopiero mają zamiar zostać naszymi przyjaciółmi — składamy dziś najserdeczniejsze życzenia miłych Świąt i wesołych wakacji wiosennych!

Zespół
„ŚWIATA MŁODYCH"

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

24—25 (1598—99) Warszawa, 24—28 marca 1967 r. Cena 1 zł

OPUSZCZENIE ZIEMI wyznaczono na jeden z pierwszych wiosennych dni. Kierownictwo ekspedycji było zdania, że dzień ten z pewnością przyniesie szczęście i że wyprawa na daleką planetę Wenus zakończy się pełnym powodzeniem.

Już we wczesnych godzinach popołudniowych kosmodrom zaroił się od kosmonautów, a wciąż nowe ekipy przybywały do miejsca startu rakiety. Rakieta stała na niewielkim wzniesieniu i połyskiwała srebrem. Była ogromna.

Kiedy na kosmodromie zawyła syrena — załogi skończyły dokręcanie przezroczystych hełmów i kontrolowanie umieszczonych na piersiach kontrolnych zegarów.

O wielkiej wyprawie na Wenus i innych imprezach organizowanych przez drużynę, która ma głowę na karku, czytaj na str. 8—9.

Zwyczaje Świąteczne

„CO KRAJ TO OBYCZAJ" — mawiali nasi dziadowie i przykazali nam: malować i krasić jajka na pisanki, siać zieloną pietruszkę na ozdobę świątecznego stołu, dzielić się jajkiem na zgodę i szczęście w pierwszy dzień Świąt, a oblewać (umiarkowanie!) wodą w drugi — takie są bowiem polskie zwyczaje świąteczne. Jak podają stare kroniki obowiązkowa jest też czysta szyja i jasny uśmiech na twarzy. A więc szanujmy przykazania starych Polaków i strzeżmy dobrych tradycji.

Trzypiętrowe fale wzburzonego Atlantyku z hukiem przewalały się przez pokład „Korala". Załoga traciła z oczu holowany wrak „Mar Cantabrico"... O niezwykłym rejsie polskiego holownika — czytaj na str. 4.

„Złoto w brzuchu dromadera" — to tytuł artykułu o polskim lekarzu weterynarii, który wiele miesięcy spędził w Tunezji. Patrz str. 5—6—7.

Złote myśli ulubionych przez was czterech pancernych i psa Szarika spisane przez W. Chotomską i W. Bisko — znajdziesz na str. 2.

7 cudów świata z rysunkami p. Mieczysława Kościelniaka, który odbył niejedną podróż na Bliski Wschód — oglądaj i czytaj na str. 12.

TRZYMAJCIE SIĘ WESOŁO!

JAK BY się kto pytał, to już mamy wiosnę. Tydzień ferii bardzo się wszystkim przyda, bo wiosną — wiadomo — każdy jest dużo bardziej zmęczony, niż o innej porze roku. Tym bardziej, że zima nie była zbyt udana. Więcej godzin oglądaliście narty i łyżwy w telewizji, niż na własnych nogach.

Wiosenne zmęczenie mocno daje się we znaki, zwłaszcza nastolatki mają teraz przed sobą ciężki okres. Ale lepiej to sobie z góry uświadomić, niż się potem załamywać: „Nic mi nie idzie, nic mi się nie chce, ciągle jestem śpiący, głowa mnie boli..." Nie tylko Ty jesteś w tej sytuacji — inni też. Takie już prawo wiosny i wieku dojrzewania. Nie przeskoczysz go, trzeba przez to przejść. Jaka rada? Nie łamać się, panie i panowie! Ile tylko się da, przebywajcie na świeżym powietrzu. Nie ślęczcie przed telewizorem, bo i tak nic w nim nie ma ciekawego. I dużo spać. Jak najwcześniej kłaść się do łóżka, bo powinniście spać 9 godzin na dobę! A „hobbyści" papierosowi niech skorzystają z wiosennej okazji: rzućcie, kochani, te zakichane „fajki" do ciężkiej Anielki! Raz — i spokój, „z głowy".

Tymczasem mamy ferie. Proponuję, żeby wszystkie lekcje odrobić w poświąteczny wtorek, usiąść od rana i odrobić za jednym zamachem do południa. A przed świętami — przeczytać jedną, dwie książki (może coś zaległego z lektury?). I to wszystko, wystarczy. W święta — już tylko „Świat Młodych" i inne przyjemności. Ze śmigusem-dyngusem nie przesadzajcie, bo Wam się panny przeziębią i co potem?

A skoro już żeśmy sobie pogadali, to teraz się serdecznie ucałujmy i złóżmy sobie życzenia: dobrego odpoczynku, zdrowia i Wesołych Świąt, moi mili. „Świat Młodych" Was gorąco pozdrawia, pokłońcie się od nas rodzicom i bliskim. Trzymajcie się wesoło!

REDAKTOR NACZELNY

MYŚLI CZTERECH PANCERNYCH I PSA SZARIKA

WEDŁUG BRACI ROJEK Z „PRZEKROJU" I PSA FAFIKA

**Siła zlygo na jednygo —
widz to, brachu roztomily,
a zaś wimy my z „Rudygo",
że na cztyrech — ni mo siły.**

GUSTLIK — amunicyjny z „Rudego"

**Umiej kumpli rozweselać —
niech zmartwienia mają „z głowy"...
Kto dowcipem celnie strzela,
ten jest strzelcem wyborowym.**

JANEK-KOS — strzelec wyborowy

**Choć w życiu wiele jest krętych ścieżek,
a na tych ścieżkach jest przeszkód wiele,
patrz, dokąd jedziesz i kogo wieziesz,
a nie rozminiesz się ze swym celem.**

GRIGORIJ — kierowca „Rudego"

**Wódz w każdej jest załodze,
więc powiem Wam do ucha:
kto chce być dobrym wodzem,
ten musi umieć słuchać.**

OLGIERD JAROSZ — dowódca „Rudego"

WSZYSTKO W ŻYCIU ZDOBĘDĘ, ALE NIGDY PSIM SWĘDEM.

SZARIK — pies

**Myśli pancerne skoncentrowali,
choć mieli w głowach pobojowisko,
oszczędni w słowach i rangą mali:
kapral CHOTOMSKA i strzelec BISKO.**

NASZ JEDEN DZIEŃ

PRZYPOMINAMY WSZYSTKIM CZYTELNIKOM!

W dniu 29 marca, a więc już za parę dni, przystępujemy do naszej międzynarodowej akcji której kryptonim brzmi: „NASZ JEDEN DZIEŃ".

Wszyscy w tym dniu będziemy Reporterami swoich miejscowości i w specjalnej korespondencji do redakcji napiszemy o jakimś ciekawym wydarzeniu, które miało miejsce właśnie u ciebie, w twoim mieście, miasteczku czy wiosce.

Jak już pewnie wiecie z poprzedniego numeru naszej gazety, temat korespondencji jest dowolny. Wasz opis musi być jednak konkretny, a fakty zawarte w korespondencji muszą odpowiadać prawdzie.

Reporterzy nie zmyślają tematów — czerpią je z życia.

Na waszą korespondencję — dotyczącą tylko i wyłącznie faktów z dnia 29 marca 1967 r. — czekać będziemy do dnia 10 kwietnia 1967 r.

Na najciekawsze wasze opisy, oprócz naszej redakcji czekają również redakcje pionierskich gazet ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

A więc pamiętajcie!

„Nasz jeden dzień" — to dzień 29.03.1967.

PRZYRODNICZY PRZEKŁADANIEC

GDZIEŻEŚ TY BYWAŁ CZARNY... BOCIANIE

„W Afryce, w Afryce, mój miły panie" — odśpiewałby nam czarny bocian, gdyby oczywiście umiał śpiewać. I białe i czarne bociany zimują bowiem w Afryce. Fellahowi w Maroku orzącemu pole towarzyszy często nie sznur kruków i wron, a białych bocianów. I tu choć ścielą sobie gniazda z egzotycznych palmowych liści, pozostają zwierzętami domowymi, plączą się na podwórku wśród kur i psów. I w Maroku nikt nie ośmieliłby się zrobić im nic złego. Uznawane są bowiem za ptaki Allacha, przynoszące szczęście.

Bocian czarny, czyli hajstra, jest niezwykle rzadki. Nieco mniejszy od białego, bardziej dziki, nieufny. Unika ludzi i gnieździ się w lasach. Nie każdy ma szczęście go zobaczyć, jest ich bowiem bardzo mało. Ten jeden zaplątał się kiedyś i zgubił we Francji. Właściciel gospodarstwa rolnego zatrzymał go u siebie i przezimował. Ptak był utrudzony, nie miał widać siły ciągnąć dalej z innymi.

Na dalekie podróże dwa razy do roku, bocian musi mieć dużo siły. Z Polski do południowej Afryki ma on do przebycia 10—12 tys. km. W czasie wiosennego przelotu przebywa dziennie 400 km. Lecą w ciągu dnia w dwuramiennym kluczu w kształcie litery V, jak żurawie.

Bociany istnieją na ziemi podobno od 8 milionów lat. Jest ich 17 różnych gatunków, a bocian czarny jest wśród nich ginącym arystokratą.

Z DZIOBKA DO DZIOBKA

PRZYLOT BOCIANÓW, śpiew słowika, a także i wzmożony stukot dzięciołów zwiastują nadejście wiosny i bliskie już lato. W naszych lasach i parkach spotykamy dzięcioła zielonego, pstrego i czarnego. Każdy z nich bez względu na kolor piór wykuwa sobie pracowicie dziuplę na gniazdo. Żywią się owadami, które wydobywają ze szczelin kory za pomocą mocnego dzioba i daleko wysuwanego języka. Chodzą śmiesznie, podpierając się na ogonie.

Kiedy urodzą się młode, można zobaczyć rodziców nieustannie znoszących prowiant dla dzieci. Ile to się trzeba napukać, ile nadźwigać, a ile nalatać, żeby wykarmić wiecznie głodne potomstwo. Czy rodzice są czarni czy zieloni karmią swoje pociechy podobnie — z dziobka do dziobka.

BIAŁY SŁOŃ

W SYJAMIE udało się myśliwym schwytać białego słonia. Według tamtejszych wierzeń biały słoń przynosi szczęście. Dlatego też tego rodzaju okazy otaczane są szczególną czcią.

Słonie-albinosy są niezwykłą rzadkością. Dotychczas żaden ogród zoologiczny nie posiada białego słonia.

Największe i najmniejsze

● **W ogromnej rodzinie małp największe rozmiary osiągają goryle. Wzrostem sięgają dwóch metrów, a waga ich dochodzi do 250 kg. Najmniejsze zaś małpki zwane marmozetkami żyją w dżunglach Południowej Ameryki. Osiągają one zaledwie 20—25 cm wzrostu i od 25—50 dkg wagi.**

ZAMIAST ROSNĄĆ — MALEJE

● **W Brazylii żyje interesująca żaba. Kiedy osiągnie ona dojrzałość, zaczyna wówczas zmniejszać swoje rozmiary. Kijanka jakki — tak nazywa miejscowa ludność tę żabę — posiada w okresie swego rozkwitu długość 25 centymetrów, a potem, starzejąc się, dochodzi swymi rozmiarami ledwie 5 cm.**

GDY PYTON ZNOSI JAJKA

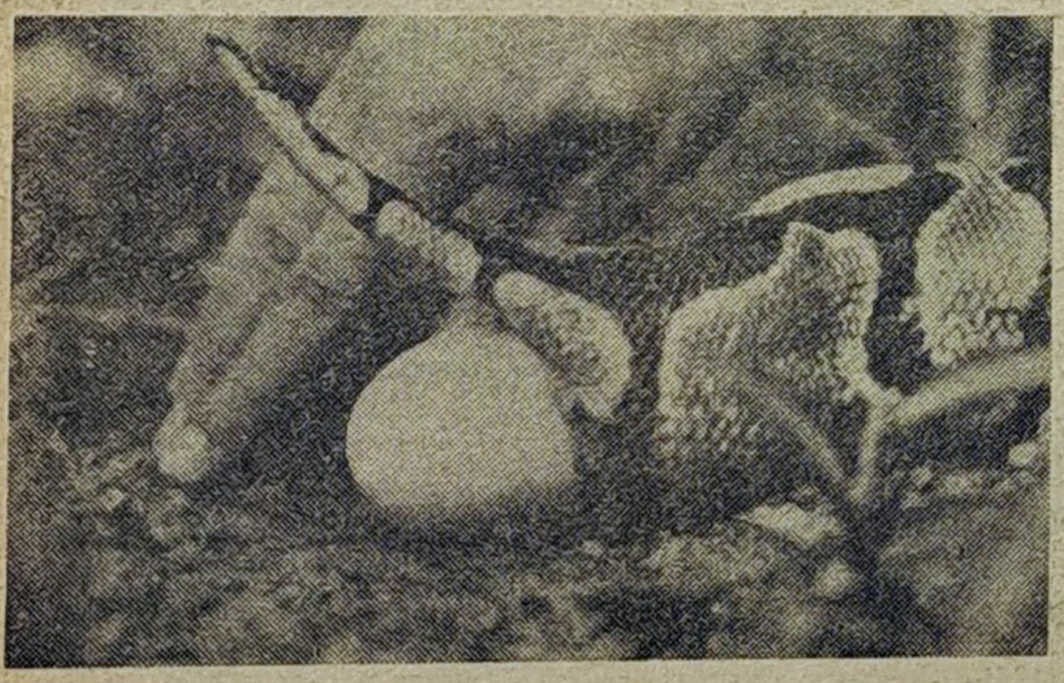

MIESZKAŃCY AFRYKI często nazywają pytona wężem boa, co świadczy o tym, że te dwa różne gady zupełnie im się mylą. Boa bowiem mieszka sobie w Ameryce, ma inną budowę anatomiczną i odmienne obyczaje. Najistotniejsza jest ta różnica, że wąż boa rodzi żywe potomstwo, a pytony znoszą jajka, z których potem wylęgają się młode. Pyton jeszcze ma ten dziwny zwyczaj, wśród węży nie spotykany, że jajka nie tylko znosi, ale je jeszcze wysiaduje.

Ci co mieli okazję dotykać pytonów twierdzą, że nie są one w dotyku ani lepkie, ani zimne, lecz tak jak wszystkie węże mają temperaturę nieco niższą od otoczenia.

Samica pytona wysiadując jajka otacza je ciasnym wianuszkiem własnego ciała, wytwarzając na potrzeby swoich dzieci temperaturę od 7 do 8 stopni wyższą od temperatury otoczenia. Składa 8 — 10 jajek, w regularnych 15-minutowych odstępach. Jak wszystkie jajka w rodzinie gadów są one miękkie, giętkie, pokryte cienką skórą koloru kości słoniowej.

Są dwa rodzaje pytonów, jeden nazywa się seba od imienia Alberta Seba, który pierwszy w roku 1734 tego pytona opisał. Pyton seba osiąga 6 m i więcej długości, a pyton „królewski" nie przekracza nigdy 1 m 60 cm. Pyton „królewski" jest też w usposobieniu nieco łagodniejszy, kąsa jedynie napadnięty. Kiedy czuje niebezpieczeństwo, zwija się na okrągło, chowając głowę w sam środek kłębka. Pytony odżywiają się żywymi ssakami. Przez dłuższy czas potrafią obywać się bez jedzenia, oczywiście wtedy ani nie rosną, ani nie tyją.

„MAR CANTABRICO"

KAPITAN ŻEGLUGI WIELKIEJ — Zbigniew Szymański — od szesnastu lat związany jest z morzem. Siedem lat dowodzi holownikiem oceanicznym Polskiego Ratownictwa Okrętowego m/s „Koral". On właśnie opowiedział mi o „Mar Cantabrico"...

„Mar Cantabrico" nie budził zaufania. Był to całkowicie wypalony i sczerniały wrak hiszpańskiego dziesięciotysięcznika, który spłonął w amerykańskim porcie Port Artur. Skreślony z ewidencji, kończył swoją służbę na morzu ostatnim rejsem na naszym holu. Na zamówienie armatora z Belgii, mieliśmy odholować ten wrak z Zatoki Meksykańskiej do Antwerpii, gdzie miał być pocięty na złom. Za holowanie zarabialiśmy dla Polskiego Ratownictwa Okrętowego cenne dewizy.

Tak zaczęła się nasza przygoda... U ujścia rzeki Sabine w Zatoce Meksykańskiej umocowaliśmy do wraku hol — czyli grubą stalową linę o przekroju 50 milimetrów i długości 500 metrów. Na pokładzie „Mar Cantabrico" umieściliśmy pięciu ludzi — czyli rannerów — którzy mieli pełnić wachtę na wraku w czasie rejsu.

Na wszelki wypadek załadowaliśmy również dwie pompy. Jedną mniejszą, zdolną przepompować 60 ton wody na godzinę, i drugą o wydolności dziesięciokrotnie większej.

Nasz rejs (ponad 5 tysięcy mil morskich) miał trwać 30 dni. Ale „Mar Cantabrico" nie liczył się wcale z naszymi planami. Uparł się, żeby nas wykończyć — „Korala", całą załogę i rannerów. Trzeba przyznać, że dopomagał mu, jak mógł, Północny Atlantyk. Miesiące bowiem listopad i grudzień to okres sztormów na Północnym Atlantyku, a myśmy go przejęli właśnie w listopadzie.

Przez pierwszych kilka dni nic nie zapowiadało sensacji. Ale kiedy tylko wyszliśmy na pełne morze, powitał nas sztorm. Fale o wysokości trzypiętrowej kamienicy rzucały „Koralem" jak piłką. Tłukły o burty „Mar Cantabrico" aż powybijały z nich nity. Rannerzy strugali drewniane kołki i zatykali nimi dziury po nitach. Duża pompa, niestety, nie mieściła się w maszynowni. Mała pracowała bezustannie, ale wody pod pokładem bezustannie przybywało. Tak było przez kilka dni. Koszmarnych, bo wiatr sięgał 12 stopni w skali Beauforta.

Minęliśmy Bermudy, kiedy otrzymałem meldunek, że woda w przedziale maszynowym osiągnęła stan alarmowy 7 metrów, a jej poziom w ładowniach dochodzi do 3 metrów! I wtedy właśnie urwał się hol!

Zapada noc. Na wraku pięciu ludzi. Trzeba ich ratować, bo wrak — może zatonąć. Podchodzimy, jak tylko można najbliżej, do wraka. Strzelamy ze specjalnego pistoletu rzutkę na jego pokład. Trafiliśmy!

Oni tam mieli tratwę pneumatyczną. Jakoś dopłynęli na niej, uczepieni rzutki. Wdrapali się na pokład „Korala".

Nadaliśmy drogą radiową ostrzeżenie do wszystkich statków, znajdujących się w pobliżu, że na trasie znajduje się dryfujący wrak. Byliśmy zresztą pewni, że do rana zatonie. Krążyliśmy jednak cały czas w pobliżu. O świcie patrzymy — daleko, za rufą majaczy nasz „Mar Cantabrico".

Jeżeli nie zatonął przez tę noc, to może go uratujemy?...

Tą samą drogą przerzuciliśmy na jego pokład rannerów. Najważniejszym zadaniem było wpakować do maszynowni dużą pompę. Przy pomocy aparatów acetylenowych wycięto jeden z szotów, czyli ścianę maszynowni. Pompę rozebrano na części i tam, już na miejscu, montowano. Jednocześnie mocowaliśmy hol...

*

Po kilkunastu dniach dochodzimy do Wysp Azorskich. Przed nami reda portu Ponta Delgada. Tu dokonamy koniecznych prac remontowych. Ale kapitan portu nie zgadza się na nasze wejście.

— Statek zatonie! Zamknie port — tłumaczy.

Usiłuję go przekonać, iż nie możemy z przeciekającym wrakiem udawać się w dalszy rejs...

Nasze argumenty nie przekonują go.

Krążymy więc po redzie z wrakiem na holu. Nie możemy zatrzymać maszyn, bo „Mar Cantabrico" jest trzykrotnie większy od „Korala", a jego mechanizmy kotwiczne nie działają. Zdryfowałoby nas, mimo kotwic „Korala". Nagle oficer wachtowy daje znać, że hol znowu się zerwał! Wiatr nie jest silny, ale wieje z morza na ląd i spycha wrak na skały. Co robić? Do skał zaledwie kilkaset metrów. Na pokładzie „Mar Cantabrico" pozostał jeden z rannerów!

Odrąbany hol leci w morze. Na wciąganie go na pokład nie ma już czasu. A wlokąc się za nami może wkręcić się w śrubę.

Decyduję się na ryzyko. Pcham się „Koralem" między skały a wrak. Strzelamy cumę na pokład „Mar Cantabrico". Ten jeden, jedyny człowiek, który pozostał na pokładzie, musi umocować ją do poleru. Manewr udaje się. „Koral" dobija do burty wraka. W ostatniej chwili obracamy „Mar Cantabrico" dziobem pod wiatr. Odchodzimy w bezpieczne miejsce...

Ja znowu do kapitana portu. A on — jeżeli wyszedłeś cało z tej sytuacji, dasz sobie radę dalej...

*

Poszliśmy. Kilkakrotnie urywał się jeszcze hol. Jedna z fal sztormowych przestawiła zupełnie komin na „Mar Cantabrico". Zalała pomieszczenia rannerów. Rannerzy przysięgali, że jeżeli przeżyją ten rejs, żadna siła nie wypchnie ich w morze.

Po 42 dniach zmagań dotarliśmy do Antwerpii. A rannerzy? Oczywiście, nie dotrzymali słowa.

Spisała: WIESŁAWA MROCZEK
Rys. M. Kościelniak

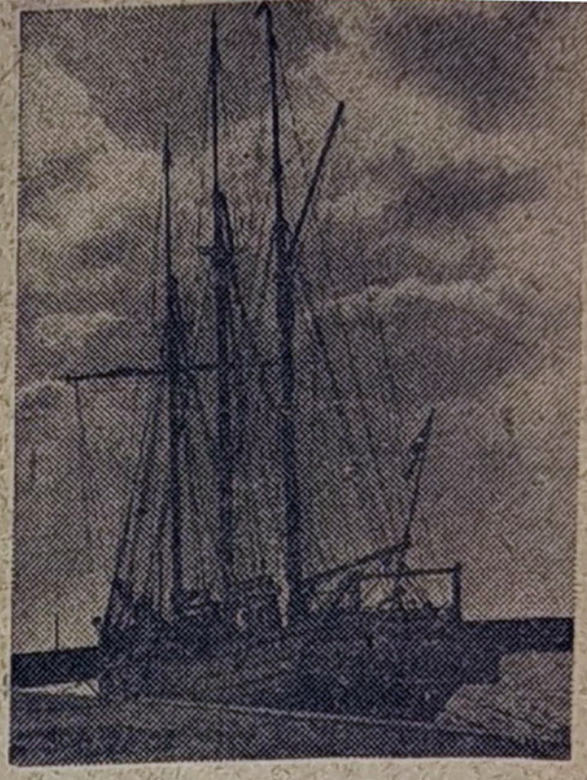

BANDERA POLSKA LICZY SOBIE 500 LAT

W INFORMACJACH PRASOWYCH ZE STOCZNI, KILKA RAZY W MIESIĄCU CZYTAMY, IŻ NA STATKU TAKIM TO A TAKIM ZOSTAŁA PODNIESIONA BANDERA; CZĘSTO DODAJE SIĘ, ŻE BIAŁO-CZERWONA Z ORŁEM. OD JAK DAWNA UŻYWAMY W KRAJOWEJ FLOCIE TAKIEJ BANDERY?

Na początku XVI wieku na malowidle w gdańskim Dworze Artusa można było oglądać obraz przedstawiający okręt, który walczy z burzą. Na przednim maszcie okrętu widoczna wyraźnie bandera polska z orłem, na maszcie zaś środkowym bandera herbowa Gdańska — dwa krzyże i korona. Według wszelkiego prawdopodobieństwa była to pierwsza bandera kaprów królewskich.

Polska flota bierze swój początek od czasów Kazimierza Jagiellończyka, który położył znaczne zasługi w jej tworzenie. Zygmunt Stary, prowadząc wojnę z Moskwą w 1517 r. zaangażował na swoją służbę okręty żaglowe tzw. kaprów, czyli rozbójników morskich. Właśnie tej flocie kaperskiej, którą dowodził Adrian Flint, kazał król ustroić się w banderę królewską.

W 1560 r. król Zygmunt August powołał ponownie na służbę flotę kaperską (pierwsza została rozwiązana po zawarciu rozejmu z Moskwą). Zadaniem jej było zwalczanie handlu morskiego państw zachodniej i północnej Europy z Wielkim Księstwem Moskiewskim. Flota ta początkowo nie działała oficjalnie w imieniu króla polskiego — nosiła więc banderę lennika polskiego — mistrza Inflant. Kiedy jednak wybuchła otwarta wojna z Iwanem Groźnym, okręty przywdziały banderę królewską z białym orłem na czerwonym tle.

Kaprowie, dawni rozbójnicy, skoro wstąpili na służbę potężnego króla, chcieli, by traktowano ich jako pełnoprawnych żołnierzy a banderze ich oddawano honory należne wszystkim statkom. Niestety, ich zbójecka przeszłość budziła wciąż w załogach okrętów kursujących po Bałtyku strach, toteż na widok bandery z orłem białym, statki umykały nie salutując bandery królewskiej. Rozżaleni kaprowie interweniowali u króla i w 1566 r. król wydał uniwersał, w którym nakazywał wszystkim okrętom oddawać kaperskim statkom należne honory i informować o celach podróży. Oczywiście, uniwersał miał na celu nie tyle zaspokojenie ambicji kaperskich, co lepszą kontrolę nad żeglugą bałtycką.

Od tego czasu bandera polska nabrała niejako pełnych „praw obywatelskich"; pływały pod nią karawele, holki, otrzymała ją galeona „Smok" — pierwsza jednostka morska budowana przez polskich szkutników w Elblągu w 1572 r. Bandera ta przetrwała wieki, wszystkie zawieruchy dziejowe i no za ją dzisiaj polskie jednostki handlowe, rybackie, statki białej floty, holowniki itp.

(jk)

Foto T. Bukowski

Od dawna pasjonują mnie książki i filmy opowiadające o życiu Indian. Chciałabym się dowiedzieć, czy w Stanach Zjednoczonych żyją jeszcze Indianie, gdzie mieszkają, jakie pędzą życie...

ALINA PEŁDIAK
SZCZECIN

JAK ŻYJĄ POTOMKOWIE WINNETOU

PRZED 350 LATY na terenie obecnych Stanów Zjednoczonych, według obliczeń amerykańskiego departamentu spraw wewnętrznych żyło około miliona Indian. Tępieni bezlitośnie w zażartych walkach, bronili rozpaczliwie swych ziem przed białymi przybyszami. Gdy wreszcie wojny ustały, ludność indiańska była dosłownie zdziesiątkowana. Wydawało się przez pewien czas, iż reszty dokonają choroby i wódka...

Na szczęście obawy te były przedwczesne. Powoli ilość Indian zaczęła ponownie wzrastać, a od dziesięciu lat wskaźnik ich przyrostu naturalnego przewyższa nawet wskaźnik u ludności białej.

Tylko kilka plemion indiańskich żyje dziś na znośnym poziomie materialnym. Do wyjątków tych zaliczają się między innymi plemiona, które uzyskały rezerwaty w stanie Oklahoma, gdzie odkryto później bogate złoża ropy naftowej.

Plemiona Apaczów zostały siłą umieszczone w rezerwatach, znajdujących się w stanie New Mexico. Plemiona te liczą obecnie około 140.000 ludzi, stanowią więc największy odłam wszystkich Indian amerykańskich. Do rezerwatów Apaczów ciągną co roku setki tysięcy turystów. Potomkowie dzielnych wojowników zajmują się dziś sprzedażą drobnych pamiątek, głównie figurek wykonywanych ze srebra.

Ogólna sytuacja plemion indiańskich przedstawia się jednak niewesoło. Ponad połowa dorosłych Indian daremnie marzy obecnie o jakiejś pracy, która mogłaby stanowić podstawę ludzkiej egzystencji.

Nędza, w jakiej żyje ogromna większość Indian, jest przyczyną niesłychanie wysokiej zachorowalności. Procentowo ilość Indian chorych na gruźlicę jest osiem razy wyższa od przeciętnej dla całych Stanów. Jeśli statystyczny Amerykanin osiąga obecnie 65 lat życia, przeciętny Indianin żyje zaledwie 42 lata. Porównanie jest proste i wymowne.

Na zakończenie warto wspomnieć, że podczas II wojny światowej w armii amerykańskiej walczyło 20 tysięcy Indian. Na Dalekim Wschodzie, w walkach z Japończykami szczególnym męstwem odznaczała się jednostka składająca się wyłącznie z Nawajów. Podobno, porozumiewając się drogą radiową, Nawajowie nie musieli krępować się podsłuchem nieprzyjaciela: mimo wszelkich starań, Japończykom nie udało się nigdy rozszyfrować używanego przez Nawajów kodu, którym był po prostu język tego plemienia...

Scena z filmu „Winnetou"

ZŁOTO w BRZUCHU DROMADERA

LEKARZ WETERYNARII dr Jan Zieliński był w Tunezji wicedyrektorem do spraw hodowli koni. W ciągu 4 lat pracy odbywał liczne podróże po tym kraju. Był również rolnikiem, orał traktorem afrykańską ziemię i siał w nią owies, aby zdobyć dla stadniny cennych koni arabskich właściwą paszę. Był murarzem, stolarzem. Sadził też drzewa cytrusowe, brzoskwinie, warzywa, kwiaty i robił jeszcze mnóstwo innych rzeczy, nie żałując swojego czasu i umiejętności. Niedawno powrócił do Polski.

Powiadają, że kto raz napije się wody z rzeki Nil, musi wrócić do Afryki... Dr Zieliński na pewno tam jeszcze pojedzie. Na razie leczy zwierzęta w klinice przy ul. Grochowskiej w Warszawie.

Nie każdy koń ma „końskie zdrowie"

TO NIEPRAWDA, że koń ma wspaniale zdrowie! Szczególnie konie rasowe wymagają troskliwej opieki, czystości i właściwego odżywiania.

Pracownicy zatrudnieni w stadninach koni w Elbatan i Siltabat koło Tunisu nie należeli do wzorowych stajennych! Piękne araby i czystej krwi angliki prezentowały się niezbyt elegancko... Były zaniedbane, brudne i źle karmione.

— Musiałem pokazać, jak powinien wyglądać dobrze utrzymany koń — opowiada doktor. — Przydała mi się praktyka na warszawskim torze wyścigowym, którą odbyłem jako student. Zabrałem się do roboty. Wziąłem pod swoją wyłączną opiekę 4 konie. Sam je czyściłem, karmiłem, dawałem potrzebną porcję ruchu, byłem jednym ze stajennych. Z tą tylko różnicą, że mówiono do mnie „mudir" — szefie: byłem przecież stajennym z prawami dyrektora!

Wszystkim pracownikom powiedziałem, że po 10 dniach zrobię przegląd całej stadniny i biada temu, kto nie doprowadzi swoich rumaków do porządku!

Wreszcie nastąpił przegląd: wyprowadzono konie.

— Najpierw moje — powiedziałem. Podszedłem do koni i wyjąwszy chusteczkę, przejechałem nią po sierści całej czwórki. Potem pokazałem chustkę wszystkim. Była bieluteńka.

— Moje konie są czyste, widzicie?

— Tak, mudir!

W efekcie przeglądu musiałem zwolnić z pracy 11 stajennych! To była moja pierwsza decyzja jako dyrektora. Nie mogłem pójść na ustępstwa. Zrobiłem tylko jedno: nie zwolniłem 17-letniego chłopaka, który sam utrzymywał liczną rodzinę.

— Jeżeli nie dasz rady lub nie potrafisz, ja będę czyścił twoje konie — oznajmiłem mu.

Chłopiec miał ambicję! Jego araby zawsze lśniły.

Złota pasza

GŁÓWNY PUNKT GRANICZNY między Tunezją i Libią znajduje się w Ben Gardane. Wkrótce po przybyciu do Tunezji znalazłem się tam, aby pewnego ranka obejrzeć ponad 700 dromaderów (właściwa nazwa wielbłądów jednogarbnych) zakupionych przez Libię na mięso. Zwierzęta miały przejść granicę, a moim zadaniem było stwierdzić, czy wszystkie sztuki są zdrowe.

Mimo iż były to początki mojego leczenia dromaderów, nie miałem wątpliwości, że 17 zwierząt cierpi na jakąś dolegliwość. Kazałem je zatrzymać. Dromaderami a wkrótce i kierownikiem transportu zajęli się celnicy i straż graniczna.

Nie domyślałem się nawet, o jaką stawkę idzie! Oto osiemnaście osowiałych dromaderów miało w swoich żołądkach po kilka kilogramów złota. W ten sposób kontrabanda chciała przemycić złoto za granicę.

Żołądki „okrętów" pustyni potrafią strawić różne dziwne rzeczy, jednak minerały do nich nie należą. Tak więc cała kontrabanda została zatrzymana w Ben Gardane.

W saharyjskim stepie

TUNEZJA — znaczy po arabsku „zieloność". Ale w stepie jest skąpa roślinność: rośnie trawa podobna do naszego sitowia, tylko znacznie delikatniejsza. Gdzieniegdzie z piasku wyrastają kolczaste krzaki, których tubylcy używają do budowy ogrodzeń, otaczających nocą zbite w gromady stada owiec, kóz i osłów. Trawa nazywa się halfa, Anglicy importują ją z Afryki i używają do wyrobu wysokiej klasy papieru.

Po takim stepie dozorujący stad pastusi ubrani w bufiaste spodnie,

(Ciąg dalszy na str. 6 i 7)

EKRAN SZKOŁY MŁODYCH

Nareszcie pierwszy kolorowy szerokoekranowy polski music-hall wchodzi na ekrany. Sam tytuł mówi za siebie: „Mocne uderzenie". A więc big-beat, rytm, piosenka, współczesność, ...no i para sympatycznych aktorów, ulubieńców publiczności. W rolach głównych: Magda Zawadzka i Jerzy Turek (Lola i Kuba).

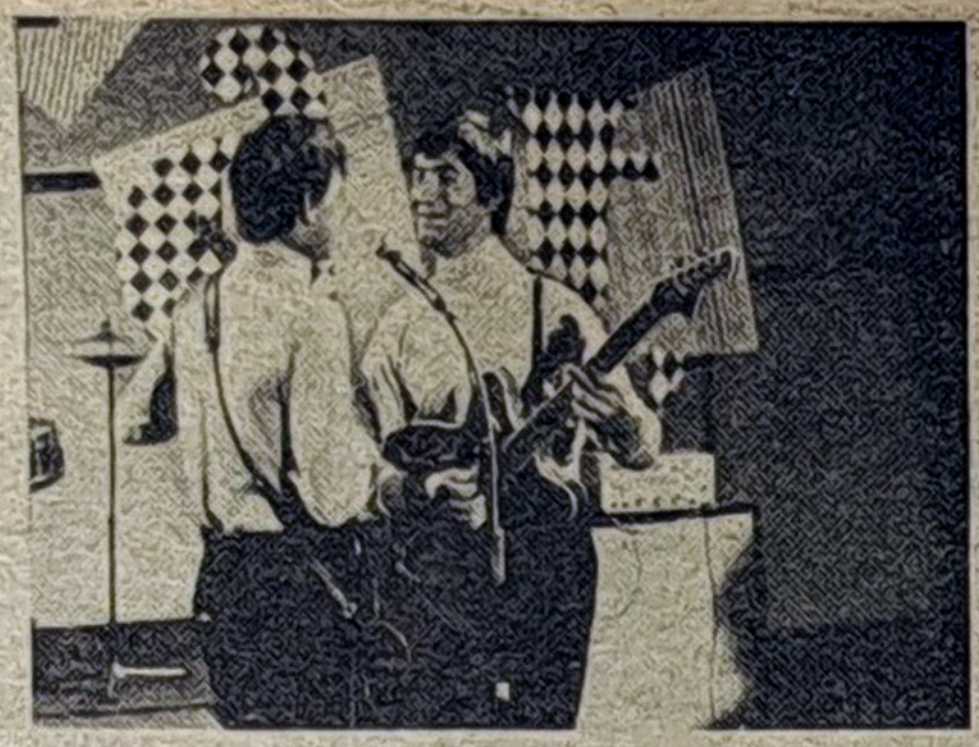

W „Mocnym uderzeniu" grają i śpiewają „Skaldowie" i „Niebiesko-Czarni". Na zdjęciu dwaj soliści N—C.

Wieńczysław Gliński jako reżyser telewizyjny organizuje właśnie Konkurs Młodych Talentów i namawia Kubę, by ten wystąpił w nim jako „autentyczny" Johnny.

Jerzy Turek w podwójnej roli cichego Kuby i szalonego Johny Tomali nie miał jak widać spokojnego żywota.

Muzyka w filmie należy do mocnych stron „Mocnego uderzenia". Nic dziwnego, skomponował ją w całości solista znanego krakowskiego zespołu „Skaldów" — Andrzej Zieliński. „Skaldowie" też śpiewają i grają razem z popularnymi „Niebiesko - Czarnymi".

W filmie usłyszymy aż 9 piosenek. Oto tytuły niektórych z nich: „Nie pukaj do moich drzwi", Jutro odnajdę ciebie", „Każdemu wolno śpiewać", „Po co ci to", „Ach" — i inne. Realizatorzy filmowi do najciekawszych zaliczają jednak melodię pt. „Piosenka w kolorach". Oto co na temat tej piosenki i jej kolorów (a także kolorów w filmie) mówi scenograf „Mocnego uderzenia" — Anatol Radzinowicz.

— Realizując na ekranie „Kolorową piosenkę", postanowiliśmy przedstawić ją w różnych kolorach. Piosenka ma cztery zwrotki, czterokrotnie więc zmieniają się przy każdej zwrotce barwy i rytm melodii.

— W ogóle nasz film ma wiele kolorów począwszy

MOCNE

ZŁOTO W BRZUCHU DROMADERA

Z filozoficznym spokojem, dźwiga na swoim garbie wszystko, co każą mu nosić. Czasem są to owoce, czasem żywe owieczki. Jest łagodny, wiecznie zamyślony, je byle co, pije rzadko, ale dużo, pozwala się strzyc, dając kilkanaście kilogramów wełny rocznie. Oto „okręt" pustyni — dromader.

(Dalszy ciąg ze str. 5)

burnusy, z laskami w rękach, bukłakiem na mleko i wodę u pasa, torbą przewieszoną przez ramię, całymi tygodniami wędrują ze swoimi dromaderami. Czasami uda im się upolować w sidła zająca lub królika, czasem jest to tylko lis lub szczur faraonów, którego mięsem też nie gardzą. Na co dzień żywią się pędami saharyjskiego czosnku, wielbłądzim mlekiem o specyficznym, jak gdyby wędzonym smaku, prażonym jęczmieniem, prasowanymi daktylami i oliwkami, w które zaopatrują się w mijanych osiedlach.

Wielbłąd raz na parę dni też musi się napić. A więc pastuch goni stado w okolicę, gdzie jest woda. Dromader potrafi wypić kilkadziesiąt litrów wody na raz. Po takim „łyku" zwierzę zaraz się robi... pełniejsze. Mierzyłem obwód wielbłądziego uda przed i po napojeniu. Było o 15 cm grubsze!

Gdy wybuchnie epidemia, a zdarza się to nawet w najporządniejszej wielbłądziej rodzinie, pastuch zawiadamia szejka z najbliższego miasteczka, a ten znów lekarza weterynarii.

Kiedyś otrzymałem wiadomość, że padło 180 wielbłądów. Sytuacja była alarmowa. Stado zmieniło jednak miejsce postoju i przez 6 dni błądziłem po stepie samochodem. Złapał mnie sirocco, pustynny wiatr, który tak dmuchał piaskiem, że nie pomogło okręcenie się kocami. Wszędzie go było pełno! Moja Malika po arabsku księżniczka — pies pudel — była jedwie żywa, a i ja nie miałem się najlepiej. Kiedy sirocco ustał, dotarłem na miejsce. Trasę znaczyły szkielety dromaderów.

Objawy choroby były dziwne. Wyglądało na to, że zwierzęta czymś się zatruły... Zamieniłem się w koczownika. Przez 10 dni obserwowałem pasące się dromadery. Wreszcie zauważyłem, że tam, gdzie jedzą rośliny o kwiatach podobnych do naszego rzepaku — padają martwe. Kazałem nakarmić jedno ze zwierząt samymi kwiatami, drugie tylko łodygami podejrzanej rośliny. Miałem pewność. To kwiaty były trujące! Pasterze stad otrzymali wiadomość, aby unikać okolic, w których występuje tak silnie trująca roślina.

Ostatnia karawana

DROMADERÓW było 3.500, same „wyborowe", takie co potrafią przejść bez jedzenia, picia i odpoczynku 200 km! Towarzyszyło im około 200 poganiaczy. Była to ostatnia karawana, jaka wyruszyła z Tunezji z Kebili do północnego Sudanu.

Ceremonia poprzedzająca wyruszenie karawany trwała trzy dni i trzy noce. Był to wielki festyn, na który zaproszono ludowych poetów, tancerzy, śpiewaków. Jeden z poetów przez 7 godzin bez przerwy opowiadał dzieje swojego konia, konia arabskiego, szybszego niż stepowy wiatr! Dziewczęta w tradycyjnych strojach tańczyły wśród labiryntu szabel. Tancerki były bose, miały zawiązane oczy, a obnażone szable groźnie migotały w świetle płonących ognisk. Do tego tańca szabel przygrywały bębenki, piszczały instrumenty podobne do naszych fletów. Urządzono popisy jazdy konnej, odbyła się również walka tresowanych wielbłądów. Handlarze otworzyli swoje kramy, zawierano zresztą i poważniejsze transakcje, dotyczące kupna i sprzedaży owiec i kóz. Słowem był to wielki zjazd Tunezyjczyków, żegnających ostatnią karawanę.

Kiedy grzbiety dromaderów załadowano sadzonkami granatów i brzoskwiń z oazy w Gabesie, fylfelem, czyli czerwonym pieprzem, i skórami, pod wieczór karawanna wyruszyła w drogę. Towarzyszyłem jej aż do granicy libijskiej. Słońce szło właśnie już spać i kiedy sznur dromaderów zarysował się na tle czerwieniejącego nieba, wi-

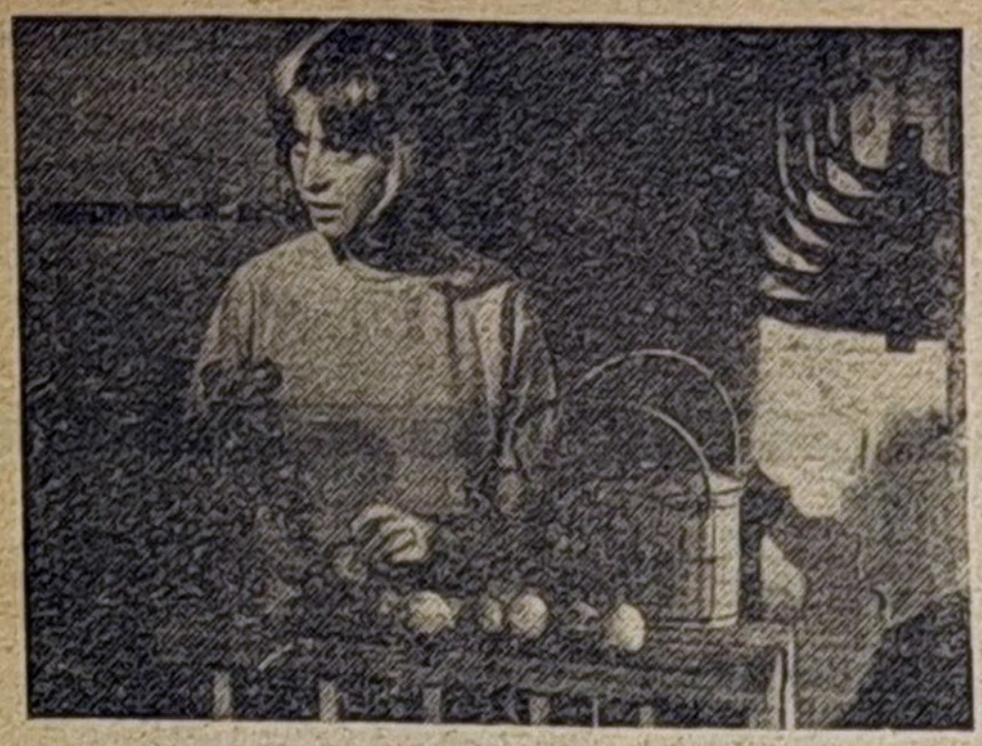

Lola (Magda Zawadzka) doprowadziła nie tylko do zerwania ślubu Kuby z Majką ale — sama stała się jego narzeczoną.

Kuba nieoczekiwanie odnosi na estradzie sukces i staje się bożyszczem młodzieży. Wszystko (jak w komedii wypada) kończy się happy-endem.

UDERZENIE

od czarno-białego, poprzez szaro-niebieski, beżowo-brązowy aż do ostrej czerwieni.

Starówka nocą jest granatowa, delikatnie podświetlona, piwnica młodzieżowa w odcieniu brązu, sień domu bohatera ma w tle karminową mozaikę, balet wystąpi w kostiumach czarnych, błękitnych, czerwonych. Jedynie sceny ślubu nakręcone zostały w sekwencji czarno-białej.

Simon pracuje

CÓŻ TO JEST SIMON? Wydawałoby się, że jakiś aktor lub solista baletu. Tymczasem Simon, choć aktorem nie jest, był nieodzownym pracownikiem ekipy filmowej.

Simon to olbrzymi dźwig wypożyczony od przedsiębiorstwa energetycznego, aby dzięki niemu kamera mogła wykonywać zdjęcia z góry. A zdjęć górnych w filmie jest wiele. Simon przydał się zwłaszcza w scenie baletowej rozgrywanej w nocy na Szerokim Dunaju niedaleko staromiejskiego rynku. Na małym placyku w plenerze, dziewięć par tanecznych tańczyło niestrudzenie na polewanym co chwilę wodą bruku (aby lśnił), a kamera umieszczona na Simonie, kręciła, kręciła... ciągle od nowa. Skończyli o 3 nad ranem.

W piwniczce... kadzidło

WATELIER wytwórni warszawskiej zbudowano wnętrze piwnicy big-beatowej. Tu odbywać się mają występy solistów i zespołów. Tu siedzą przy stolikach pary, piją kawę, palą papierosy. Skąd wziąć dym we wnętrzu piwnicy? Może rozpalić w nieszczelnym piecu?

Realizatorzy poradzili sobie z dymem. Po prostu napuścili do piwnicy kadzidła. Dym kadzidłowy snuł się po wnętrzu bardzo fotogenicznie i aktorom było przyjemnie, bo ładnie pachniało.

A jaka jest treść tej barwnej komedii?

Oczywiście komediowa. Jerzy Turek jako Kuba daje już dostateczne powody do śmiechu. Sekundują mu dzielnie inni aktorzy z Michnikowskim i Glińskim na czele.

Jeszcze nie ma go na ekranie, a już film „Mocne uderzenie" reż. Jerzego Passendorfera cieszy się ogromnym zainteresowaniem nastolatków i miłośników muzyki big-beatowej. Czy zainteresowanie to będzie trwało również po obejrzeniu filmu w kinie? Czy nie przyniesie młodym rozczarowania? Przyszłość pokaże.

A. WIELGOŁAWSKA

Foto. CWF

dok był fantastyczny, niezapomniany.

U Berberów

BERBEROWIE budują swoje miasteczka w niedostępnych miejscach, wśród gór. Kiedyś bronili się w ten sposób przed Arabami, dziś jest to już tylko tradycja.

Na pierwszy rzut oka nie widać zbudowanych z kamieni osiedli. Człowiek wspina się po kamienistej ścieżce i nagle zauważa, że wkracza do osiedla. Każdy przybysz — a Berberowie widzą go z daleka, gdy pnie się pod górę — witany jest bardzo gościnnie!

Ta arabska dziewczyna po powrocie ze szkoły niańczy swoje młodsze rodzeństwo. W czasie wypraw w step dr Zieliński często podwoził samochodem dzieci idące do szkoły. Jeden 9-letni chłopiec wędrował codziennie z wyjątkiem dni świątecznych (piątki i soboty) po 16 km w jedną stronę! Chłopiec wychodził rano o świcie i wracał o 9 wieczorem.

Mnie też prowadzono zawsze do szejka i dopiero kiedy zjadłem porcję kus — kus (potrawa z pszenicy) zaczynała się rozmowa. Przyzwyczajeni do turystów szukających egzotyki, Berberowie nie mogli się za każdym razem nadziwić, że przybywam po to, aby zatroszczyć się o zdrowie ich osłów, kóz i kur. Ponieważ lekarzy w Tunezji nie ma zbyt wielu, zdarzało się, że musiałem też udzielać porad lekarskich ludziom. Kiedy sytuacja tego wymagała — nie miałem wyjścia, musiałem...

Kobiety berberyjskie wyrabiają piękne dywany z wełny, tkają też namioty z wełny koziej i wielbłądziej. Berberowie trudnią się rolnictwem, hodują zwierzęta: nie powodzi się jednak mieszkańcom górskich wiosek najlepiej...

Inwazja skorpionów

W TUNISIE, który jest stolicą Tunezji, mieści się Instytut Pasteura. Kiedyś wydarzyła się w nim i zabawna, i groźna równocześnie historia. Otóż jeden z łowców skorpionów przywiózł do Instytutu pełen worek tych jadowitych pajęczaków. Instytut bowiem skupywał żywe skorpiony, potrzebne do produkcji szczepionki. Tego dnia pracownicy Instytutu kończyli już pracę i nie chciało im się zająć żywym towarem, który trzeba było wyjąć z worka, policzyć, itd.

— Przyjdź jutro — powiedzieli do właściciela skorpionów. Kiedy jego prośby i tłumaczenia nie pomogły, zdenerwowany Berber ściągnął worek z pleców i rabnął nim o podłogę. Skorpiony wypełzły z worka, a Instytut w jednej chwili opustoszał. Wybuchła panika. Szczepionka szczepionką, ale nikt nie chciał, aby go taki „pajęczak" ukąsił! Przez kilka dni Instytut był zamknięty na głucho. Kordon policji otaczał budynek, a policjanci uzbrojeni... w packi polowali na skorpiony. W wielkim zamieszaniu obrażony łowca skorpionów, któremu nie chciano zapłacić za towar, ulotnił się. Nie zauważony odjechał gdzieś w góry na swoim ośle...

Dr Jan Zieliński z kameleonem. Przed „pstryknięciem" migawki aparatu, kameleon siedział na rękawie czarnej koszuli, dlatego tak wyraźnie widać go na stopie, jeszcze nie zmienił zabarwienia. A gdzie buty? Pan doktór podarował je właśnie jakiemuś Berberowi. Potem kupił sobie nowe.

Foto: J. Zieliński

Breda w samochodzie

WŚRÓD licznych obowiązków lekarza zwierząt niewiele czasu zostawało na tak zwane „prywatne" życie. Wolne chwile najczęściej wypełniały podwodne polowania z harpunem w morzu. Dr Zieliński ma na swoim koncie kilka zwycięskich spotkań z rekinem-młotem. Wędrował też po dnie morza. W okolicach Gabesu natrafił na szczątki statku z amforami, pamiętającymi co najmniej okres panowania Imperium Rzymskiego, oraz kadłub hitlerowskiego samolotu myśliwskiego z ostatniej wojny.

A w domu prowadził pan doktor prawdziwą fermę... tresowanych kur.

— Miałem ochotę na rosół — opowiada pan doktor. Ali, chłopak który prowadził mi gospodarstwo, kupił więc kurę. Kura weszła do pokoju. Akurat coś pisałem, gdy wskoczyła mi raptem na kolana. Zdumiony spojrzałem na ptaka, a on zaczął mi się przyglądać. Lubię rosół, ale nie za każdą cenę! Kura otrzymała imię Breda i zaczęła z wdzięczności znosić jajka. Miałem więc materiał na tradycyjne pisanki wielkanocne, a właśnie było to tuż przed świętami. Breda stała się przy tym zawodniczką, wygrywającą dla mnie zakłady. Nauczyłem ją bowiem, że co pewien czas znosiła dwa jajka jedno po drugim. Budziło to podziw moich znajomych; mieli mnie za czarownika, a Breda stała się sławna.

Kiedy poczuła instynkt macierzyński, posadziłem ją na gnieździe. Wyprowadziła stadko złożone z 17 kurcząt. Taki drobiazg potrzebował odpowiednich warunków do grzebania. Wsadzałem więc kwokę z dziećmi do samochodu, zabierałem książkę, i wyjeżdżałem na godzinę w step. Otwierałem drzwi samochodu. Breda i kurczęta, a potem już dorosłe kury, wychodziły i „pasły się" dookoła mnie. Wystarczyło, że zapuściłem motor, a kury wchodziły do środka wozu.

Opowiadanie lekarza weterynarii spisała

ANNA GRZYBOWIECKA

Kilka tygodni temu znany zielonogórski szczep im. Kornela Makuszyńskiego — „MAKUSYNY" — obchodził 10 rocznicę swego istnienia. Na tę wielką uroczystość, gromadnie przybyli ci, którzy niegdyś zakładali drużynę, a dziś są technikami, nauczycielami, studentami. 10 lat temu, pod wodzą druha Zbigniewa Czarnucha, wówczas świeżo upieczonego magistra historii, drużyna odbyła drugą zbiórkę. Drugą, bo na pierwszą nie zjawił się nikt. W ciągu 10 lat przeszło przez szeregi „Makusynów" kilkaset harcerek i harcerzy. Wielu z nich ma już brody i wąsy — są dorośli i pracują w fabrykach albo w szkołach. Ale do drużyny wstępują ciągle nowi, młode dziewczynki i młodzi zielonogórscy chłopcy. Dziś chciałbym wam opowiedzieć, co robiły „Makusyny" w ciągu 10 lat.

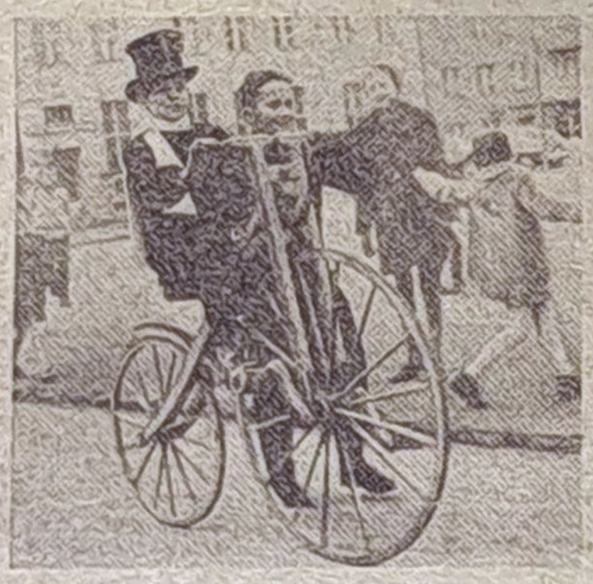

NA PIERWSZYM ROWEROWYM BIWAKU — 10 LAT TEMU W LUTYM 1957 R.), KILKU PIERWSZYCH „MAKUSYNÓW" POSTANOWIŁO, ŻE BĘDĄ STANOWIĆ ROWEROWĄ DRUŻYNĘ. ZACZĘTO PROWADZIĆ KSIĘGĘ HISTORII ROWERU, KTÓRĄ OPIEKOWAŁ SIĘ JUREK JAŁOCHA — BRAT SŁAWKA. KILKA MIESIĘCY POŹNIEJ DRUŻYNA ZAFUNDOWAŁA SOBIE MOTOROWER, POŹNIEJ MOTOCYKL, A JESZCZE PÓŹNIEJ SAMOCHÓD. WSZYSTKIE TE POJAZDY UŁATWIAŁY „MAKUSYNOM" PORUSZANIE SIĘ PO KRAJU W CZASIE LETNICH OBOZÓW WĘDROWNYCH. W CZASIE NAJDŁUŻSZEGO OBOZU ROWEROWEGO ZIELONOGÓRSCY HARCERZE PRZEJECHALI TRASĘ OD SZCZECINA DO GDAŃSKA.

W SZYSCY UCZESTNICY WYPRAWY stali w wielkim czworoboku. Z jednej strony — ekipy z podwórkowych harcówek Zdzicha Kopacza i Ryśka Kuźmina, z drugiej kosmonauci z ulicy Wąskiej. Obok nich stały ekipy z ulicy Wazów, z Piastowskich Wzgórz i z Chrobrego.

Powtórny ryk syreny oznajmił rozpoczęcie wyprawy. „Odpaliła" rakieta, która — wypełniona chrustem — szybko stała się ogniskiem.

Pośrodku wielkiego placu ułożono z patyków ogromne koło. To była właśnie planeta Wenus. Wewnątrz koła znajdowały się same dziewczynki.

Tak już „Makusyny" ustaliły, że Wenus widocznie zamieszkują same dziewczynki, Wenusjanki miały bronić wstępu na swoją planetę, więc kiedy z kilku stron zaczęli zbliżać się kosmonauci, podniosły taki wrzask, że wszystkie zegary, znajdujące się na piersiach ziemskich przybyszów — popękały. Wkrótce też pokazało się, że dotknięcie Wenusjanki usypia natychmiast dalekich gości. Trudno więc było im przedrzeć się przez ten „żelazny" pierścień, padali pokotem nie opodal planety.

Kiedy jednak jednemu z kosmonautów udało się dostać na planetę i uruchomić wielkie źródło ultradźwięków w postaci starej strażackiej syreny — Wenusjanki rażone dźwiękiem padły na ziemię... ściślej mówiąc... Na Wenus.

Ekspedycja odniosła pełny sukces! Podchody udały się.

Kto nie wie, niech się dowie, że właśnie w Zielonej Górze w roku 1958 harcerski szczep „Makusyny" zaczął — jako pierwszy w Polsce — organizować podwórkowe drużyny.

Członkami tych drużyn byli nie harcerze, ale dzieci z okolicznych podwórek, które po prostu chciały wesoło się bawić. Ci, którzy brali udział w organizowaniu podwórkowych imprez i systematycznie w nich uczestniczyli jako widzireje, stawali się wkrótce „Makusynami".

W roku 1960 na terenie miasta działało 14 harcówek, które urządzone były na strychach, w piwnicach w prainiach i szopach — wszędzie tam gdzie było trochę wolnego miejsca. Działało też podwórkowe kino i podwórkowe zespoły artystyczne.

Przeciętnie raz w miesiącu wszystkie drużyny podwórkowe z całej Zielonej Góry spotykały się na wielkiej imprezie — takiej jak „Wyprawa na Wenus", „Bitwa pod Grunwaldem", czy „Partyzancka wojna".

W podwórkowych drużynach, skupionych wokół makusynowskich harcówek, bawiło się kilkaset chłopców i dziewcząt.

Bardzo często pisał o nich wtedy „Świat Młodych."

Magicy na podwórku

ROZBIJANIE NAMIOTÓW szło szybko. Kilku chłopców — piąto, szóstoklasistów — uwijało się przy linkach i masztach, wbijało śledzie. Kiedy namiot stanął, oczom zebranej dzieciarni ukazał się wymalowany na płótnie, kolorowy napis — „CYRK CUDAKÓW". Z okolicznych podwórek zbiegali się wszyscy, by oglądać to niecodzienne widowisko. Tymczasem „pracownicy techniczni" przemienili się już w artystów. Wciągali śmieszne, kolorowe stroje, rozwieszali na kijach transparent. Po chwili kilkuosobowa grupa przebierańców chodziła już po wszystkich podwórkach i z krzykiem zapraszała na występ.

„Uwaga, szanowni państwo! Dziś przybył do was znany na całym świecie podwórkowy „Cyrk Cudaków"! Zobaczycie Człowieka-Strzałę, skaczącego przez płonące koło — zapraszamy na występ! Za pół godziny zaczynamy!"

W namiocie jest tłok, a wciąż przybywają nowi widzowie. Zaczyna się występ. Na ogrodzoną linami arenę wmaszerowuje cały zespół, grając marsza na butelkach i grzebieniach. Już sam widok młodych cyrkowców zmusza widownię do śmiechu.

Dyrektor cyrku oznajmia:

„Niejedna szkoła, niejedna szkółka
Uczy o różnych ziołach i ziółkach
A naszych ziółek nie ma w zielnikach
Na co dzień jednak z nimi się stykasz".

Na arenę wbiega Jurek z wielką finką i recytuje:

„Moi koledzy zwą mnie dziurawcem
Bowiem wycinam dziury na ławce.
Na spacer zawsze swój kozik biorę
Na drzewach pięknie wyrzeźbiam korę,
Wszystko co tylko w ręce mi wpadnie
Jakem dziurawiec, dziurawię ładnie".

Wiele jeszcze „ziółek" oberwało w czasie cudackiego występu, z niejednego skarżypyty i chwalipięty zrobiono „balona". Po dwóch godzinach występ się skończył, a cyrkowcy przy pomocy widowni zwijali kolorowy namiot i rozklekotanym wózkiem odjeżdżali na inne podwórko.

Zespół „Cudaki" istniał prawie do momentu założenia drużyny. Początkowo był to podwórkowy cyrk, potem cyrk przerodził się w operetkę, a jeszcze później stał się specyficznym „cudackim" zespołem występującym na wielu scenach w kraju i za granicą. Wiele razy pokazywała ich telewizja, zrobiono o nich film. Cudaki bawią się na scenie, tak dobrze jak publiczność na sali. Przerabiają stare piosenki, sami układają nowe, wystawili prawie wszystkie sztuczki ze „Świata Młodych". Zespół nie był nastawiony na szkolenie „artystów" choć wielu jego członków posiadało duże talenty. Rysiek, jeden z „Cudaków", jest obecnie studentem Wydziału Aktorskiego Wyższej Szkoły Teatralnej, a zespół istnieje do dziś, oczywiście ciągle zmieniając aktorów.

Za pan brat z samochodem

SŁAWEK był jednym z pierwszych członków drużyny. Natychmiast po odbyciu pierwszej rady drużyny, kiedy garstka szóstoklasistów postanowiła być „rowerową grupą". Sławek objął opiekę nad technicznym stanem pojazdów. W czasie letnich obozów, kiedy każdy członek drużyny posiadał już rower, „Jałoszka" (tak nazywali Sławka „Makusyny") opiekował się warsztatem naprawczym, który wożono ze sobą jako rowerową przyczepę.

Gdy „Jałoszka" zdał egzamin do Technikum Mechanicznego drużyna była już tak bogata, że zafundowała sobie samochód — starą rozklekotaną „Skodę", która była dla „Makusynów" tragarzem, wozem reklamowym, służyła do przewozu „Cudaków" na występy i sama brała udział w defiladach. Nasz technik zaczął z nią dbać. Stał się jej kierowcą, opiekunem i konserwatorem. Potem, kiedy drużyna stała się szczepem, właśnie dzięki inicjatywie „Jałoszki", „Makusyny" zdobyły dalszych 5 samochodów. Wybudowano garaże, a Sławek został ich kierownikiem. Skończył Technikum i nauczycielskie studia. Teraz uczy fizyki, w szkole, gdzie dyrektorem jest szczepowy, dh. Zbigniew Czarnuch. Wśród uczniów ma wielu młodych „Makusynów", którzy często mają tyle lat, ile lat Sławek jest w drużynie.

W czasie spotkania rocznicowego starzy członkowie drużyny opowiadali mi, jak to Sławek podczas któregoś z wędrownych obozów naprawiał samochód, który nawalił nocą, na trasie. Wszyscy chodzili zaspani po szosie, cała kolumna samochodów stała. „Jałoszka" był jedynym człowiekiem, który się wtedy nie denerwował. Spokojnie naprawiał motor, nawet nie drżały mu ręce, na które wszyscy wtedy patrzyli, świecąc latarkami

„CUDAKI", TO CHŁOPCY CHODZĄCY DO 5, 6 KLASY, A OPROCZ PROWADZONEGO PRZEZ NICH PODWÓRKOWEGO CYRKU ISTNIAŁ KIEDYŚ W DRUŻYNIE TEATR CIENI „POD PSEM". TEATR ROZPOCZĄŁ WYSTĘPY PREMIEROWYM PRZEDSTAWIENIEM „PRZYGODY ŁAJKI W PRZESTWORZACH", POZNIEJ JEDNAK CHŁOPCOM ZNUDZIŁY SIĘ KILKUMIESIĘCZNE WYSTĘPY CIĄGLE Z TYM SAMYM PROGRAMEM I TEATR ROZWIĄZANO. POWSTAŁ WÓWCZAS SATYRYCZNY KABARET O TEJ SAMEJ NAZWIE. WŁAŚNIE W TYM KABARECIE ZADEBIUTOWAŁA ZNANA DZIŚ PIOSENKARKA — URSZULA DUDZIAK, KTÓRA ŚPIEWAŁA WÓWCZAS WESOŁĄ PIOSENKĘ O PSIE DINGO. CAŁA ARTYSTYCZNA ZABAWA „MAKUSYNÓW" ZACZĘŁA SIĘ OD ZESPOŁU „CUDAKÓW". A W CIĄGU 10 LAT ISTNIAŁO PRZY DRUŻYNIE PONAD 10 RÓŻNEGO RODZAJU ZESPOŁÓW, WŁĄCZAJĄC W TO ZESPÓŁ GITAR ELEKTRYCZNYCH „ŚWISTAKI".

do środka silnika. Taki właśnie jest Sławek — dokładny, spokojny, znający swój fach.

Od początku istnienia „Makusynów" drużynowy zwracał wielką uwagę na to, by każdy posiadał jakieś hobby, które potem stanie się, być może, jego zawodem. Spośród chłopców, którymi kierował kiedyś „Jaloszka", dziś wyrośli mechanicy samochodowi, technicy budowlani, hydraulicy. W drużynie było takich „Jaloszków" — specjalistów od różnych zawodów — więcej. Byli specę od muzyki — jeden z nich studiuje teraz w konserwatorium moskiewskim, byli specę od plastyki, od sportu. Ci najlepsi „zawodowcy" opiekowali się młodszymi, którzy sprawdzali dopiero, jakie mają uzdolnienia, jakie talenty.

W zamku straszy

OD STRONY ODRY zamek wygląda jak ruina. Dwie rozwalone wieże wyglądają na tle nieba groźnie i niedostępnie. Kiedy na zamku zjawili się pierwsi harcerze, okoliczni mieszkańcy mówili, że tam straszy. „Straszy, nie straszy, zamek odbudujemy. A przy okazji zapoznamy się z duchami. Każda nowa znajomość może być interesująca!" — mówiły „Makusyny".

W zamku podobno rzeczywiście straszyło, ale jakoś nie przeszkodziło to w odbudowie zrujnowanej budowli. Dziś, po trzech latach odbudowy, zamek posiada już nowy dach, kuchnię, kilkanaście doskonale odremontowanych pomieszczeń. Odległy jest wprawdzie od Zielonej Góry o dwadzieścia siedem kilometrów, ale zawsze to własna — pałacowa rezydencja, a nie jakaś tam ciasna harcówka.

Latem zamek zaludnia się „Makusynami", którzy tutaj właśnie spędzają wakacje. Odbudowują coraz to nowe pomieszczenia, bawią się w rycerzy, grzebią w lochach i ruinach szukając pozostałości po wielkich zamkowych bogactwach. Opracowują historię zamku, w wielkiej kaplicy organizują przedstawienia teatralne, koncerty muzyki poważnej i big-beatowej.

Na jednej z zamkowych wież, właśnie tam, gdzie gruchotały kiedyś kości jednego z byłych władców zamku, działa dziś obserwatorium astronomiczne. Obserwatorium posiada wielką lunetę i prowadzi nie tylko obserwacje nieba, ale opracowuje też prognozy pogody. Podobno prawie tak dokładnie jak Wicherek.

Nie od razu Kraków zbudowano — mówi szczepowy „Makusynów", druh Zbigniew Czarnuch — nie do razu więc dalibyśmy radę odbudować takie wielkie zamczysko. Mieliśmy dużo doświadczenia — najpierw remontowaliśmy barcówki, potem budowaliśmy garaże dla naszych samochodów, no a potem wzięliśmy się za zamek. Trzeba umieć stopniować trudności. Nowo powstała drużyna nie powinna nigdy brać się za wielką robotę, za rzeczy najtrudniejsze. Drużyna musi się zżyć, muszą się wyłonić specjaliści o różnych zainteresowaniach, żeby potem, kiedy trzeba zrobić coś wielkiego, wszystko poszło jak po maśle. Zamek jest naszym triumfem przede wszystkim dlatego, że nasi harcerze — dorośli fachowcy i młodzi chłopcy — sami pracują, wykonując najprzeróżniejsze czynności, że każdy odpowiada za jakąś część roboty. Tak jak w dorosłym społeczeństwie. Można bardzo mądrze powiedzieć, że zamek jest ostatnim etapem pobytu w szczepie, potem młody człowiek pracuje już samodzielnie w fabryce, w szkole i gdzie indziej. Zamek to ostatni etap naszego stopniowania trudności.

Sejm obraduje

ZDARZYŁO SIĘ KIEDYŚ, że druh Czarnuch wyjechał w czasie wakacji z częścią „Makusynów" do Arteku. „Makusyny" reprezentowały polskich harcerzy na tym wielkim pionierskim obozie. Była to trzecia, wielka zagraniczna wyprawa szczepu (pierwsza do Jugosławii, druga do NRD). No, ale wiadomo, że trzydziestu harcerzy, to przecież nie całe „Makusyny". Ci, którzy zostali w Polsce, postanowili sami, bez szczepowego, urządzić obóz letni. Wybrano komendanta obozu — jednego ze starszych harcerzy — ustalono skład całej kadry obozu. Trochę to było dziwnie — słuchać rozkazów swojego starszego kolegi, ale „Makusyny" wytrzymały tę próbę. Obóz udał się.

Wiele decyzji podejmowano wspólnie. Ktoś np. kąpał się samotnie w jeziorze. Trzeba go było ukarać. Zbierała się wtedy starszyzna i radziła. Często wynikały kłótnie, ale zawsze dochodziło się do porozumienia. Zresztą ten system zbiorowych narad stosowano już wcześniej, kiedy szczepowy był na obozie. Harcerze uczyli się sami podejmować decyzje. Często w czasie takich narad członkowie zastępu zmywali głowę swemu zastępowemu za jakieś tam sprawki i zastępowy nie obrażał się, ani nie odgryzał za postawione mu zarzuty.

Jeden z obozów zorganizowano na wzór Gromadzkiej Rady Narodowej. Sołtysem był komendant obozu, a szefowie różnych wydziałów odpowiadali za powierzone im sprawy. Dwie godziny dziennie urzędowała GRN. Szef wydziału sportu organizował kajakowe wycieczki, szef kultury — zabawy, dekoracje, rozmieszczenie namiotów, szef kulinarny ustalał jadłospisy i decydował o innych sprawach związanych ze swoim resortem.

Druh Czarnuch, który na obozie nie był nawet sołtysem, spacerował sobie, i oglądał jak rządzą jego harcerze i wkraczał jako przedstawiciel ministerstwa dopiero wtedy kiedy popełniono jakiś rażący błąd.

Tak „Makusyny" uczyły się słuchać rozkazów kolegów i rządzić.

W czasie zebrań starszyzny często zastanawiano się, jakimi cechami powinien legitymować się wzorowy „Makusyn". Mówiono, że powinien być zawsze uśmiechnięty, bystry, wesoły, słowem — geba od ucha do ucha — jak mówił szczepowy. Powinien też być specjalistą od jakiegoś zagadnienia — techniki, sportu, zbierania monet, występów na scenie. Wreszcie powinien być wodzirejem, czyli umieć zorganizować do zabawy innych.

Wszędzie tam, gdzie jest „Makusyn", powinno się coś dziać. Najlepsze harcerki i harcerze otrzymywali w czasie obchodów rocznic szczepu i na zakończenie obozów — dyplomy wzorowego „Makusyna" i upominki.

Chciałbym na zakończenie pochwalić się, że przez 10 lat byłem w drużynie „Makusynów". Jako zdyscyplinowany „cudak" obiecuję solennie, że zawsze będę się starał zachować na co dzień nasz cudacki humor i pogodę ducha. Chyba, żeby największy „Makusyn" — druh Zbyszek Czarnuch, stał się — z jakichś tam powodów — ponurakiem. Ale, mówiąc szczerze, jestem pewien, że nigdy się to nie stanie!

WIESŁAW HUDON

KONKURS wiosenny

ZADANIA
I NAGRODY
OBOK

JEST JUŻ WIOSNA. Lada dzień wyruszysz ze swoim zastępem, z grupą kolegów, na pierwszą wyprawę w teren, na wycieczkę. Weźmiesz z sobą mapę, wyznaczysz na niej trasę i cel. Jeśli potrafisz „czytać" mapę, nie zginiesz nawet w najbardziej nieznanym terenie. A „czytać mapę" — to znaczy umieć zorientować ją wg stron świata i znać znaki topograficzne, które nie tylko określają różne obiekty w terenie, ale mówią również o jego ukształtowaniu.

Nasz konkurs polega na sprawdzeniu twoich umiejętności terenoznawczych. Przeczytaj uważnie poszczególne zadania (patrz str. II), przypatrz się rysunkom i wpisz odpowiedzi do kuponu. Kupon naklej na kartę pocztową z dokładnym swoim adresem i przyślij do redakcji „Świata Młodych", W-wa, ul. Mokotowska 24 — do dnia 7 kwietnia br. Życzymy ci powodzenia!

1)

ODLEGŁOŚCI NA MAPIE I W TERENIE

Mapy wykonywane są w różnych skalach, czyli przedstawiają one obraz terenu w odpowiednim pomniejszeniu. Np. na mapie w skali 1:100.000 1 kilometr terenu równa się 1 cm na mapie. Odpowiedz na pytania:

a) Jaką odległość w terenie określą 2 cm na mapie w skali 1:50.000?

b) W jakiej skali jest mapa, na której 1 km odległości terenowej równa się 4 cm na mapie?

2)

3)

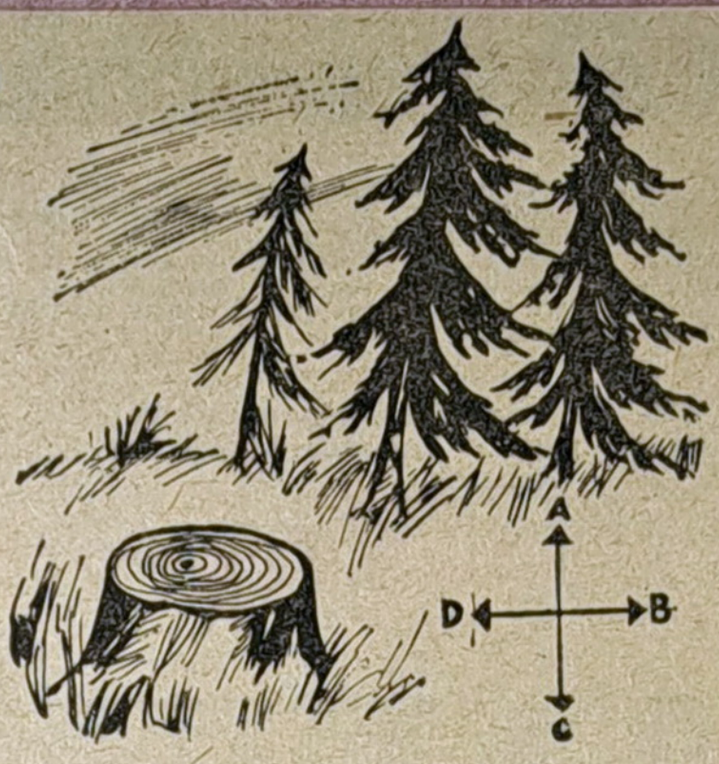

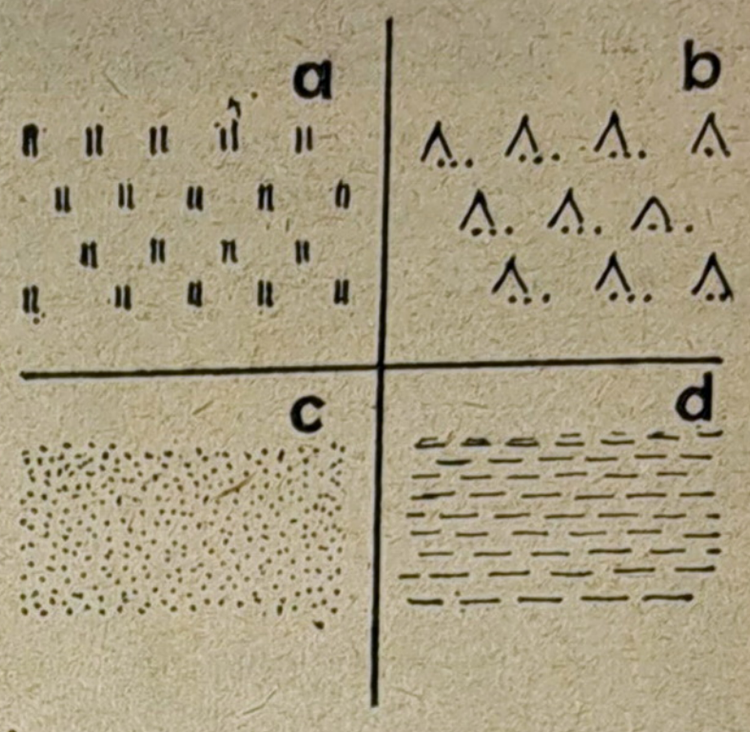

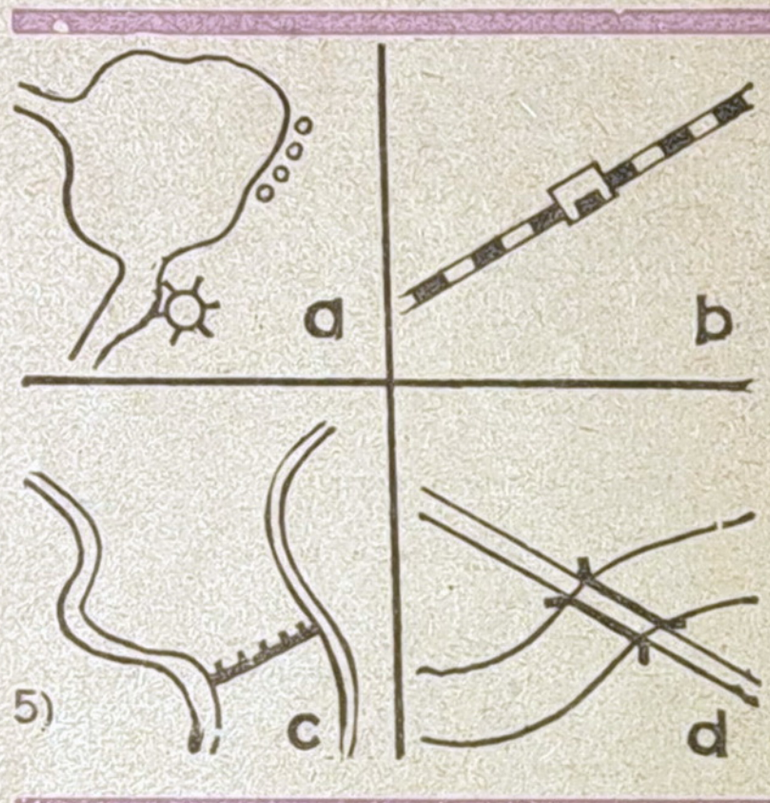

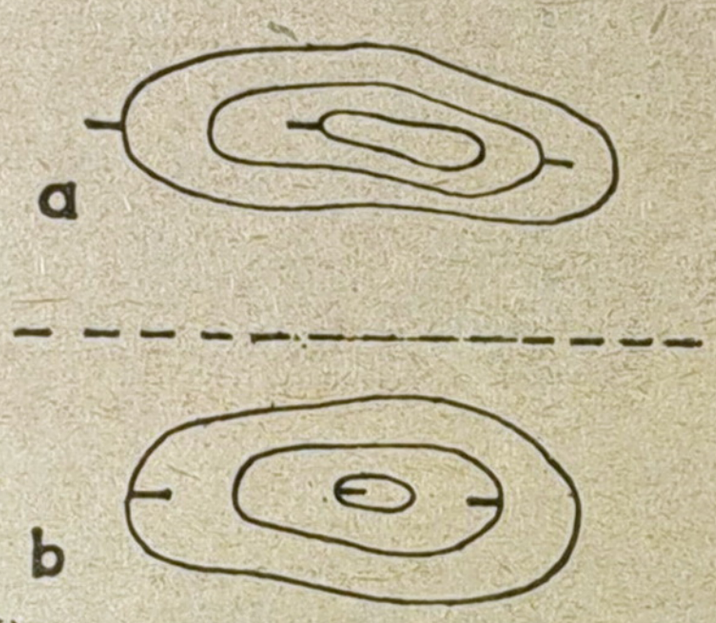

6)

7)

8)

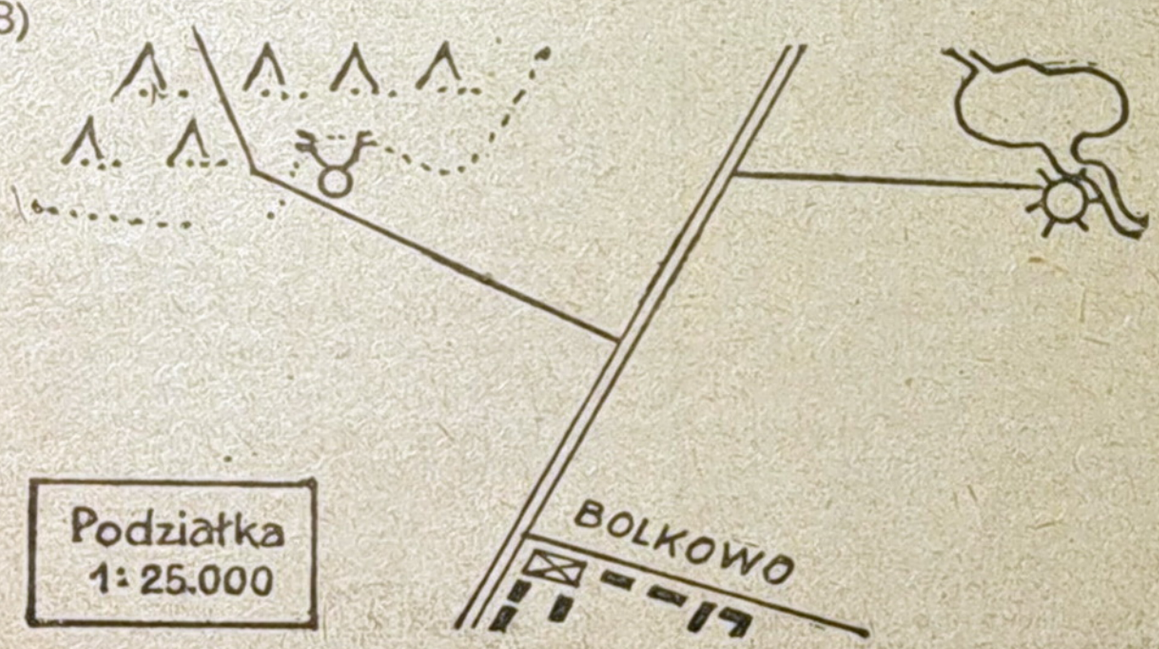

KUPON — ROZWIĄZANIE ZADAŃ (do wycięcia)

1. — a)——— b)———

2. — narysuj znaki ——— ——— ———

3. — wpisz odpowiednią literę ———

4. — a)——— b)——— c)——— d)———

5. — wpisz literę ——— 6. — a)——— b)———

7. — narysuj znak topograficzny ———

8. — a)——— b)———

KONKURS

ZADANIA:

1. Odpowiedz na pytania:
   a) Jaką odległość w terenie określą 2 cm na mapie w skali 1:50.000?
   b) W jakiej skali jest mapa, na której 1 km odległości terenowej równa się 4 cm na mapie?
2. Narysuj 3 znaki topograficzne określające 3 obiekty przedstawione na rysunku.
3. Według sylwetek drzew lub przekroju pnia określ, gdzie znajduje się północ. (Wpisz do kuponu odpowiednią literę).
4. Jaki teren, oznaczony na mapie takimi znakami topograficznymi przedstawiają kwadraty: a, b, c d. W odpowiedzi podkreśl, który z nich najlepiej nadaje się na biwak.
5. Który z tych czterech rysunków przedstawia sztuczny kanał? Wpisz do kuponu odpowiednią literę.
6. Tak oznacza się na mapach jednobarwnych kotliny i wzniesienia. Który z rysunków jest wzniesieniem, a który kotliną (doliną)? Wpisz do kuponu odpowiednią literę.
7. Jakim znakiem na mapie oznacza się takie gospodarstwo pracownika służby leśnej?
8. Rysunek ósmy przedstawia plan osady i okolic Bolkowa. Spodządzony on jest w skali 1:25000. Przy pomocy linijki centymetrowej wylicz, ile jest metrów:
   a) z poczty do młyna (oczywiście drogą)
   b) z poczty do leśniczówki (też drogą)
   Przedtem ustal, ilu metrom w terenie równa się 1 cm na planie (skala 1:25000).

NAGRODY:

Wśród czytelników, którzy prawidłowo rozwiążą wszystkie zadania rozlosujemy następujące nagrody:

- ROWER
- NAMIOT DWUOSOBOWY
- 3 MATERACE NADMUCHIWANE
- 5 PLECAKÓW
- 5 TOREB TURYSTYCZNYCH
- 5 KOCHERÓW
- 10 KOMPASÓW
- 20 KSIĄŻEK

Nagrody wysłane zostaną pocztą.

ZE ŚWIATA PRZYGÓD

Jack z Pilarosa

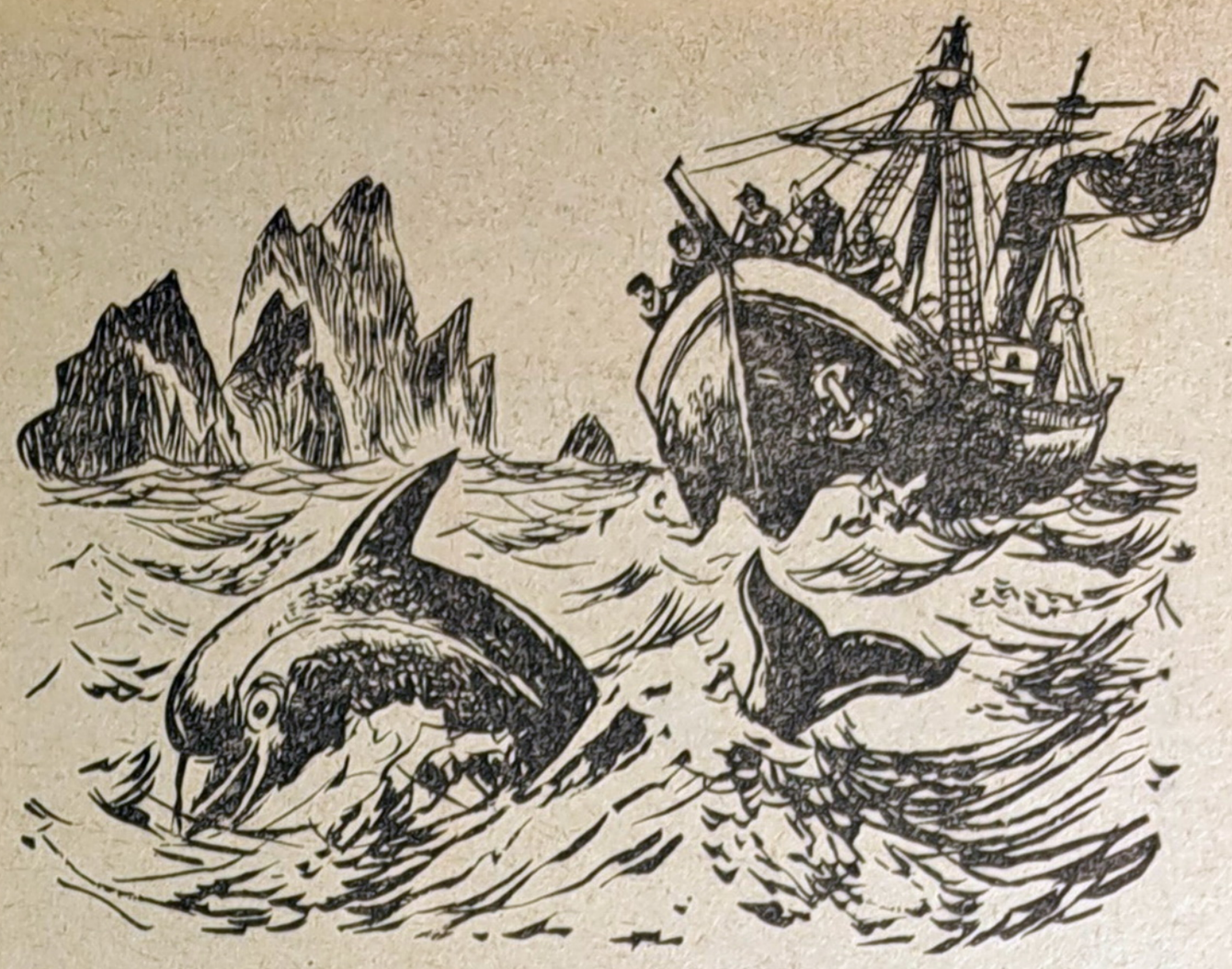

HISTORIA JACKA (czytaj: Dżeka) jest niezwykła. Gdyby nie liczni świadkowie, można by ją uważać za całkowicie zmyśloną.

Jack był jedynym pilotem morskim w całej dotychczasowej historii żeglugi, który „pracował" przez 40 lat bez przerwy. Tylko jeden raz zdarzył się wypadek, kiedy Jack na pewien czas opuścił swój posterunek, ale o tym później. Uchronił od zatonięcia setki ludzi i setki statków, zyskując światową sławę i wdzięczność marynarzy.

U wybrzeży Nowej Zelandii (na północy Wyspy Południowej) znajduje się Cieśnina Francuska o bardzo silnym prądzie morskim. Cieśnina zaczyna się u wysp d'Urwille (czytaj: Djurwil); przesmyku Pilarosa i dochodzi do Zalewu Tasmańskiego. Cieśnina jest krótka, lecz bardzo niebezpieczna — zdradliwe podwodne skały i silne prądy stanowią zawsze groźbę dla żeglugi. Ale tak było dopóki nie pojawił się Jack. Dzięki niemu cieśnina na 40 lat stała się bezpieczna, a nawet atrakcyjna. Nie powiedziałem bowiem do tej pory, że tym słynnym pilotem był... delfin, zwykły delfin, ssak morski.

Gdyby nie żona kapitana...

...prawdopodobnie nie czytalibyście teraz tej historii o Jacku. Ale zacznijmy od początku.

W roku 1871 do niebezpiecznej cieśniny zbliżał się szkuner „Brednell" z Bostonu. Statek płynął z ładunkiem maszyn i obuwia do Sydney, w Australii. Jeszcze przed wejściem do niebezpiecznej strefy kapitan zarządził alarm. Załoga podwoiła czujność. Dyżurny oficer stanął na dziobie. Widoczność była zła, tego dnia siąpił deszcz i morze zalegała mgła.

Nagle oficer zobaczył przez szkła lornetki jakiś szaroniebieski przedmiot. W pierwszej chwili przemknęła mu myśl, że z wody wystaje skała. Ale zmienił zdanie, bowiem przedmiot zaczął się poruszać.

— Kapitanie, jakaś wielka ryba przed dziobem! — meldował oficer.

Na pokładzie statku zebrała się momentalnie grupka marynarzy spragniona sensacji.

— To na pewno młody wieloryb. — Panie kapitanie, jeśli pan pozwoli, to za kilka minut będziemy mieli go na pokładzie — odezwał się jeden z marynarzy.

Kapitan nie miał nic przeciwko rozerwaniu się swoich chłopców, tym bardziej, że łowami mieli się zająć ci, którzy nie pełnili wachty.

Rozpoczęto już przygotowania. Ustawiano działo harpunnicze na pokładzie, gdy zaciekawiona niecodzienną krzątaniną żona kapitana postanowiła wyjść na pokład. Spojrzała na harpun i od razu zorientowała się o co chodzi.

— A gdzież ten wieloryb? — zagadnęła podnieconych marynarzy. Zamiast odpowiedzi wskazali jej ręką morze. Stanęła przy relingu, ale nic nie mogła zobaczyć. Dopiero po chwili wypłynął spod statku sympatyczny zwierzak. Na oczach pani kapitanowej zaczął się popisywać, wykonując piękne wyskoki nad wodę niczym cyrkowiec.

Nie wiadomo dlaczego, ale z miejsca poczuła sympatię do tego „wieloryba". Zrobiło się jej żal, że mogą go zabić. Zresztą zwierzę wcale nie wyglądało na wieloryba. Podbiegła natychmiast do męża, żeby odwołał rozkaz.

— Chyba nie pozwolisz zabić tego malca. To byłoby okropne!

W głosie jej było tyle żalu i smutku, że kapitanowi zrobiło się jakoś głupio. Odwołał rozkaz tłumacząc zawiedzionym marynarzom, że to wcale nie wieloryb, lecz delfin.

Wszystko to działo się jeszcze przed wejściem do cieśniny. Delfin hasał sobie w najlepsze wokół szkunera, jak oddany pies wokół swego pana. W momencie wejścia w niebezpieczną strefę delfin nagle wypłynął przed statek i przez cały czas płynął tuż przed jego dziobem. Załoga prowadziła szkuner dokładnie śladem delfina i tylko dzięki niemu bez wysiłku przepłynęła szczęśliwie przez zdradliwą cieśninę.

Tak zaczęła się niezwykła kariera delfina-pilota. Od tego czasu zawsze przebywał w pobliżu cieśniny, oczekując na przechodzące statki. Pilotował je bez względu na porę dnia i pogodę. Szybko też otrzymał od marynarzy swoje imię — Jack z Pilarosa.

Zdradziecki strzał

JACK pierwszy wypływał na spotkanie statków witając je zawsze efektownymi skokami nad wodę. Marynarze i pasażerowie nie byli mu dłużni — wiwatowali i wznosili okrzyki na jego cześć.

Od czasu gdy Jack objął bezinteresowną „służbę", na wodach cieśniny nie zdarzył się ani jeden wypadek. Jack zwykle płynął niedaleko od statku. Od czasu do czasu podpływał pod niego, aby wynurzyć się z drugiej strony burty. Ale gdy statek podpływał do niebezpiecznej strefy, Jack wyrywał się do przodu i płynął odtąd przed dziobem.

W 1903 roku przez cieśninę przepływał statek „Pingwin". Jack jak zwykle wyszedł na spotkanie. Pasażerowie stali na pokładzie oglądając niezwykłe widowisko. Nagle rozległ się strzał. To jakiś pijany pasażer wystrzelił do Jacka z pistoletu. Na statku zawrzało.

— Wyrzucić łobuza za burtę! Powiesić go! — krzyczeli oburzeni marynarze i pasażerowie. Kapitan „Pingwina" z trudem powstrzymał tłum od popełnienia samosądu.

Po tym strzale Jack natychmiast znikł i nie pojawił się na „służbie" przez dwa tygodnie. Wszyscy myśleli już, że sympatyczny delfin został zabity. Tymczasem Jack pojawił się znowu. Jaka była radość wśród marynarzy, nie trzeba chyba pisać.

Po wypadku z „Pingwinem" zarząd miejski Wellingtonu (stolica Nowej Zelandii) wydał specjalną uchwałę, w której wyraźnie napisał, że bierze Jacka pod swoją opiekę. Było to chyba jedyne zarządzenie, które marynarze respektowali z radością.

Niezwykła pamięć

DZIWNE może się wydać, ale Jack nigdy nie zapomniał przykrości jaka go spotkała ze strony „Pingwina". „Pingwin" był jedynym statkiem, któremu delfin nie pomagał w przepłynięciu niebezpiecznej cieśniny.

Wieść o tym „postanowieniu" Jacka lotem błyskawicy rozeszła się wśród marynarzy. Wielu nie chciało najmować się do służby na „Pingwinie" twierdząc, że statek jest przeklęty. I w końcu stało się to, o czym przepowiadano w marynarskich kantynach. Pewnego razu „Pingwin" prowadzony przez pilota-człowieka rozbił się o podwodne skały i zatonął.

Przez wiele jeszcze lat delfin-pilot pełnił swoją służbę. Ale i on starzał się coraz bardziej. Ostatni raz przeprowadził statek na początku kwietnia 1912 roku. Od tego czasu znikł tak samo tajemniczo, jak się pojawił.

Nie wyjaśniona zagadka

NIKT, nawet uczeni nie potrafią wytłumaczyć zachowania się Jacka. Jego postępowanie wydaje się być mądre, ludzkie. A przecież był on tylko zwierzęciem, wprawdzie inteligentnym, ale jednak... Historia delfina — Jacka z Pilarosa — była jedyną w swoim rodzaju. Ani przed nim, ani po nim, żaden delfin nie zachował się w ten sposób. Znane są wprawdzie wypadki uratowania przez delfiny tonącego człowieka lub pomagania rybakom w łowieniu ryb, ale żaden z nich nie dorównywuje wyczynom Jacka.

Wdzięczni Jackowi marynarze i pasażerowie na jednej z ulic nadmorskich Wellingtonu wznieśli mu pomnik, na którym wygrawerowano długi spis zasług tego niezwykłego delfina.

STANISŁAW WIRSKI
Rys. M. Kościelniak

SIEDEM CUDÓW ŚWIATA

KAŻDA EPOKA szczyci się swoimi wielkimi osiągnięciami; czy to będą wspaniałe budowle, czy dzieła sztuki lub techniki. Dorobek artystyczny świata starożytnego był imponujący.

Już w trzecim wieku przed naszą erą zaliczono do pomników sztuki szereg zadziwiających obiektów, pod nazwą „Siedem cudów świata".

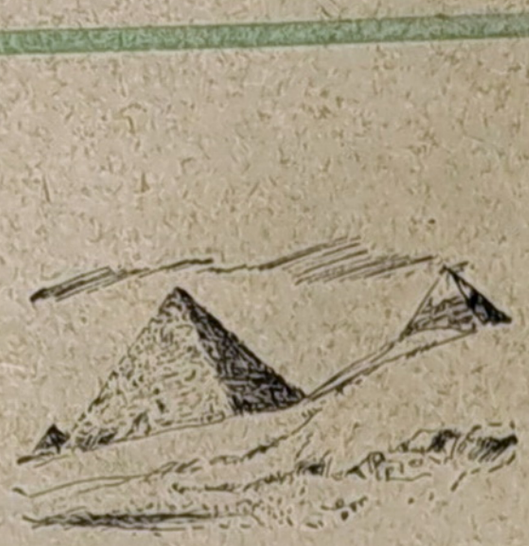

PIRAMIDA CHEOPSA

W DELCIE NILU, nie opodal dzisiejszej stolicy Egiptu Kairu, w Giza znajduje się kilka monumentalnych grobowców faraonów. Są to piramidy, budowle istniejące już 4600 lat. Król Cheops, po egipsku Hufu, zbudował tu dla siebie olbrzymią piramidę-grobowiec, który miał zachować na wieczność jego ciało i wykazać potęgę władcy.

Piramida ta zbudowana na planie kwadratu imponuje ogromem. Wysokość jej 147 metrów (dziś nieco niższa) czyli około 50 pięter, kubatura 2.521.000 m^3, a więc zbudowana jest z kilku milionów kamieni wapiennych, dokładnie ociosanych i dopasowanych. Wielu robotników i niewolników egipskich pracowało przez 20 lat przy tym monumentalnym grobowcu, wiele tysięcy zginęło z upału i głodu. Piramida Cheopsa dotrwała do naszych czasów.

POSĄG ZEUSA W OLIMPII

W ZACHODNIEJ CZĘŚCI PELOPONEZU, w Grecji, leży Olimpia. Tu odbywały się co 4 lata słynne Igrzyska Olimpijskie, które były świętem narodowym całej Grecji. Do dziś zachowały się ruiny świętego okręgu Olimpii, a głównym gmachem tego okręgu była świątynia Zeusa olimpijskiego. W świątyni tej znajdował się wspaniały i ogromny posąg tego boga wykonany ze złota i kości słoniowej. Autorem dzieła był największy rzeźbiarz starożytnej Grecji — Fidiasz. Według istniejących wizerunków starożytnych tego dzieła można sobie dziś odtworzyć w przybliżeniu wygląd posągu Fidiasza. Bóg siedział na złotym tronie, trzymając w jednym ręku berło z orłem, w drugim posąg bogini zwycięstwa — Nike. Siedem metrów wysokości liczył sobie ten kolos.

Dzieło to przetrwało 800 lat. Posąg przeniesiony do Konstantynopola, zniszczony został przez pożar lub na rozkaz cesarza Teodozjusza II. Najważniejsze wiadomości o posągu Zeusa pochodzą od geografa i historyka greckiego Pauzaniasza.

MAUZOLEUM W HALIKARNASIE

Mauzolos, władca Karii na wybrzeżu Azji Mniejszej, przeniósł swą stolicę do Halikarnasu. Wraz z małżonką Artemizją postanowił uczcić swoje panowanie i wyzwolenie spod władzy Persów — wspaniałym pomnikiem.

Oboje małżonkowie wznieśli wielki grobowiec-świątynię, która rozsławiła ich imiona na cały świat. Gmach ten ozdobiony jońskimi kolumnami oraz licznymi posągami z marmuru miał dach w kształcie piramidy, na której szczycie ustawiono posągi Mauzolosa i Artemizji. Autorem posągu był słynny w starożytności rzeźbiarz — Skopas.

Grobowiec przetrwał do 12 wieku, zniszczony przez trzęsienie ziemi. Archeologowie odkopali go w 19 wieku.

Nazwa „mauzoleum", pochodzi właśnie od tego grobowca.

FAROS LATARNIA MORSKA

Naprzeciwko egipskiego miasta i portu Aleksandrii leży wysepka Faros. Około roku 300 p.n.e. król Egiptu Ptolomeusz I zbudował na tej wyspie latarnię morską, która swoim ogromem i sławą przewyższała wszystkie dotychczas zbudowane latarnie. Liczyła ona 120 m wysokości. Na najwyższej części, pod wielkim posągiem boga, umieszczone było ognisko, a zainstalowane tam zwierciadło wysyłało światło daleko na morze. W niższych częściach wieży znajdowały się ciekawe techniczne urządzenia, jak obserwatorium astronomiczne, wodociągi, zegary wodne.

Latarnia Faros przetrwała do roku 1303. Silne trzęsienie ziemi zwaliło ją do morza. Już nigdy jej nie odbudowano.

Napisał i rysował
M. KOŚCIELNIAK

WISZĄCE OGRODY SEMIRAMIDY

WEDŁUG STAROŻYTNYCH ŹRODEŁ, ogrody te zbudowała królowa Babilonu, Semiramida około roku 600 przed naszą erą. Niektórzy kronikarze twierdzą, że to król Nabukaduezar zbudował te piękne ogrody dla swej żony Semiramidy.

Sądząc z opisów, ogrody te były ogromne i piękne. Na czworokątnych wieżach wzniesiono specjalne dachy, na nich zaś ołowiano-ceglane podłoże, na które sypano ziemię. Pracowało przy tym dziele tysiące niewolników i wielu inżynierów.

Niestety, ogrody te nie dochowały się do naszych czasów. Po zdobyciu Babilonu zniszczyli je Persowie. Dzięki kronikarzom starożytnym wiemy dziś, jak te ogrody wyglądały.

ARTEMIZJON

Szósty cud świata to wielka świątynia bogini Artemidy „Artemizjon" w mieście Efezie, na zachodnim wybrzeżu Azji Mniejszej. Zbudowana w wieku VII przed n.e. Spalił ją szewc Herostrates, aby uzyskać wiekopomną sławę. Wkrótce świątynia ta została odbudowana w jeszcze większych rozmiarach i o wiele wspanialsza. Rozmiary jej (104 m na 50 metrów) kwalifikowały ją na największą świątynię świata starożytnego. Przed kolumnadą świątyni ustawiono posąg bogini Artemidy, dzieło wielkiego rzeźbiarza Praksytelesa.

Do dziś zachowały się tylko szczątki tej świątyni. Niektóre jej fragmenty znajdują się w Muzeum Brytyjskim.

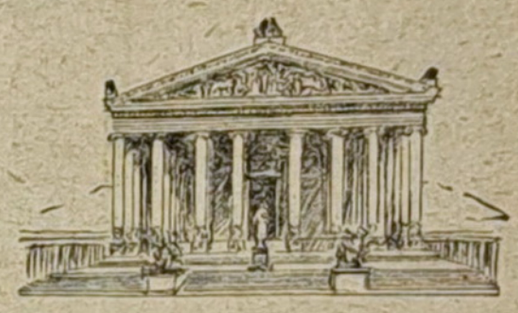

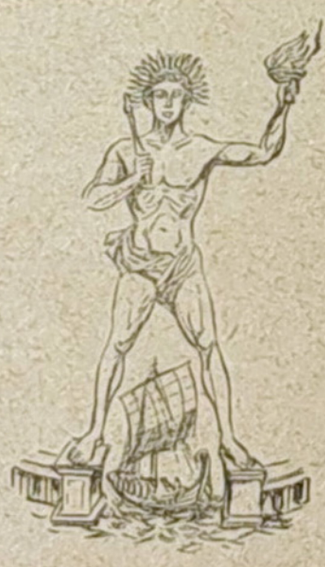

KOLOS RODYJSKI

Był to olbrzymi posąg spiżowy boga Heliosa, ustawiony przed wejściem do portu na wyspie Rodos na Morzu Egejskim.

W roku 290 p.n.e. zaatakował Rodos wódz syryjski Demetrios. Rodyjczycy wytrzymali długotrwałe oblężenie. Sprzęt oblężniczy pozostawiony przez ustępującego wroga sprzedali mieszkańcy miasta, a za pieniądze uzyskane ze sprzedaży wznieśli kolosalny posąg boga, który liczył 36 m wysokości. Kolos był nie tylko ozdobą portu, służył także jako latarnia morska. Między szeroko rozstawionymi nogami przepływały okręty.

W 80 lat po ukończeniu, trzęsienie ziemi powaliło największy grecki posąg. W wieku VII p.n.e. Arabowie, którzy zajęli wyspę, rozebrali jego szczątki i sprzedali je Syryjczykom.

W ostatnich miesiącach obiegła prasę wiadomość, że Grecy postanowili odbudować ten słynny posąg i ustawić go na tym samym miejscu, gdzie stał w starożytności.

Projekt ten ma tak samo gorących zwolenników, jak i zaciekłych przeciwników.

LIST ZE SZPITALA

WIELE dni minęło od mego wypadku. Leżę w szpitalu i czeka mnie długie leczenie. Lekarze mówią, że nieprędko pozwolą mi wstać.

Pierwszy raz jestem oddzielona od życia klasy, koleżanek i kolegów. Mam przykre uczucie, że moi klasowi przyjaciele dawno zapomnieli już o mnie.

Wszyscy wiedzą o tym moim nieszczęśliwym wypadku. Nikt się jednak nie odezwał, nawet najkrótsza karteczka nie nadeszła do mnie, do szpitala.

Kiedyś panował u nas w szkole zwyczaj odwiedzania chorych na grypę, anginę.

Może za dużo wymagam, ale przecież chyba wiecie, jak smutno jest godzinami leżeć i stale wracać myślami do swojej kochanej klasy. **(rj)**

LAURA

OD KLUBU NASTOLATKÓW:

Zasmucił nas list Laury. Bo wiemy, że nie tylko ona jest w takiej sytuacji. Kochani, pamiętajcie — zwłaszcza podczas ferii i Świąt — o naszych chorych koleżankach i kolegach. Samotnie bardzo trudno znieść chorobę.

CO JEST W ŚRODKU ZIEMI?

MOŻE ZŁOTO? Albo po prostu woda? Tyle przecież jest jej na powierzchni. Może woda jakimiś skrytymi szczelinami przeciekła do środka, jak do dziurawej piłki? A może we wnętrzu Ziemi pali się wieczny ogień?

Tak na sto procent to jeszcze nie można powiedzieć, co jest w środku Ziemi, nikt tam nie był. Ale... właśnie! Od czegóż nauka, nowoczesne przyrządy? Przecież nikt również nie był na Słońcu, a mimo to obliczono, jaka panuje temperatura na jego powierzchni. Nikt nie przemierzał drogi z Ziemi na Księżyc, a jednak umiemy obliczać, jaka nas dzieli odległość od najbliższego sąsiada. Ba, co tu mówić o Księżycu. Potrafimy nawet obliczyć odległości dzielące nas od dalekich gwiazd, ich temperatury. Taka jest potęga nauki.

Co więc nauka mówi o wnętrzu Ziemi?

JAK POMARAŃCZA

NASZĄ ZIEMIĘ, pod względem wewnętrznej budowy można by porównać do olbrzymiej pomarańczy. Zewnętrzna jej skórka, to zastygła skorupa ziemska, i proporcjonalnie tak samo cienka, jak u pomarańczy. Gdybyśmy mogli przekopać przez środek Ziemi tunel (oczywiście praktycznie jest to zadanie nie do zrealizowania), bylibyśmy świadkami niecodziennych zjawisk.

Tak wygląda Ziemia widziana z Kosmosu. Zdjęcie naszej planety wykonała automatyczna kamera zainstalowana na pokładzie sputnika.

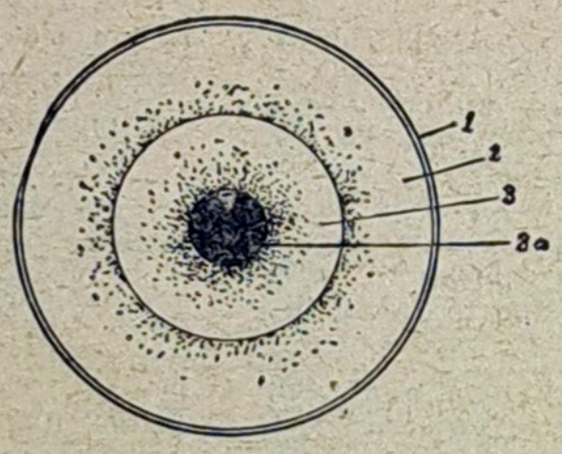

Posuwając się w głąb Ziemi, słupek rtęci, dokładnie co 33 metry podnosiłby się o 1 stopień. Na głębokości 3300 metrów temperatura wyniosłaby już 100°C. A jaka jest temperatura w samym „sercu" Ziemi? Uczeni uważają, że aż 6 tys. stopni, a więc tyle samo, co na powierzchni Słońca. Dużo, prawda? Ale temperatura to jeszcze nic. W sercu Ziemi panuje niesamowite ciśnienie, wynoszące 4.000.000 atmosfer! To olbrzymia siła. Wyobraźcie sobie ciężar 4 tys. ton cisnący na 1 cm kwadratowy powierzchni. Nie ma chyba tak twardego metalu, który mógłby się w takich warunkach utrzymać w stanie stałym.

Wszyscy badacze są zgodni co do tego, że naszą planetę można podzielić na trzy główne części (patrz rysunek): 1 — skorupę, bardzo cienką i stosunkowo lekką; 2 — płaszcz, grubą warstwę znacznie cięższą od skorupy; 3 i 3a — jądro zewnętrzne i wewnętrzne, bardzo gęste, bardzo gorące i będące w stanie ciekłym.

Taki model wnętrza Ziemi ustalony został w roku 1960, kiedy miało miejsce trzęsienie ziemi w Chile. Potężne drgania, powstające w czasie trzęsienia Ziemi, wywołują fale sejsmiczne, które przenikają przez wewnętrzne warstwy. Mierząc prędkość rozchodzenia się tych fal można wywnioskować, jaka jest geologiczna budowa wnętrza Ziemi. Takie badania prowadziło wielu uczonych, między innymi C. I. Pekeris z Instytutu Weizmanna w Izraelu oraz Australijczyk K. E. Bullen z Uniwersytetu w Sydney.

Ostatatecznie model Bullena uznano za najlepszy (przedstawiamy go na rysunku). Zewnętrzna warstwa, tzw. skorupa (1) ma grubość do 100 km, głębiej znajduje się płaszcz Ziemi (2), którego grubość wynosi około 2800 km. Jest to jeszcze warstwa stała, składająca się ze skał. Poniżej płaszcza rozciąga się jądro zewnętrzne Ziemi (3), będące już w stanie ciekłym. Składa się ono głównie z mieszaniny skał i metali i ma grubość 2220 km. Serce Ziemi nazywa się jądrem wewnętrznym (3a) i jest oczywiście również ciekłe. Grubość jego — od jądra zewnętrznego do środka Ziemi — wynosi 1250 km. Na budowę jądra wewnętrznego składają się tylko metale, czyli najcięższe pierwiastki.

Amatorom cyfr-olbrzymów podajemy przy okazji, ile waży cała Ziemia. Patrzcie uważnie:

6 000 000 000 000 000 000 000 000 kg.

Jest to szóstka z 24 zerami. Ciekawe, czy potraficie przeczytać tę liczbę?

ST. BOROWIECKI

Na końcu świata

Z geografii wiemy, że faktycznie nie ma końca świata. Chcąc bowiem mówić o końcu naszej planety, musielibyśmy znaleźć jej początek, takiego jednak miejsca nie znajdzie się na globusie.

W literaturze często nazywa się „końcem świata" przylądek Dieżniewa, na Półwyspie Czukockim, w ZSRR. Nazywa się go tak dlatego, iż jest on najbardziej wysuniętym na wschód skrawkiem lądu.

Pierwsze sprawdzone „wiadomości o końcu świata" pochodzą z połowy XVII wieku. W roku 1648 Kozak S. Dieżniew (popiersie jego znajduje się na przylądku) przepłynął jako pierwszy z Oceanu Lodowatego Północnego na Ocean Spokojny — przez cieśninę nazwaną później Cieśniną Beringa (Bering dokonał tego samego wyczynu w 1728 roku).

Skalista i zlodowaciała ziemia na Przylądku Dieżniewa nie jest urodzajna. Stąd też mieszkańcy „końca świata" zajmują się przede wszystkim rybołówstwem i myślistwem, polując na wieloryby, foki, morsy i białe niedźwiedzie.

Mieszkańcami „końca świata" są Eskimosi. Dawniej żyli oni w kopulastych domkach ze śniegu, zwanych „iglo". Dziś mieszkają w nowoczesnych domach, przystosowanych oczywiście do tamtejszego klimatu. Gdy nadejdzie pora łowów, Eskimosi opuszczają swoje mieszkania i udają się na morze. Jest ono bowiem ich głównym żywicielem.

Księżniczka

Napisał JANUSZ DOMAGALIK (5)

MALCHERCZYK też był chyba zadowolony, że tutaj usiadłem. Uśmiechnął się do mnie parę razy, usiłował mi wmówić jedną kromkę ze swoich zapasów, a wreszcie, na klasówce z polskiego, napisał mi na bibule: „Możesz tu siedzieć na stałe, przekonaż się, że tu nieźle...".

Polonistka zauważyła manipulacje z bibułą i sądząc, że to jakaś ściąga— kazała ją sobie podać. Przeczytała i roześmiała się:

— Malcherczyk! Jak się pisze „przekonasz się"? Chodź i napisz na tablicy!

Napisał dobrze, przez „sz" na końcu i zdziwiony czekał, co dalej.

— A dlaczego na bibule zrobiłeś błąd?

— Błąd? Bo ja wiem? Ale przecież na bibule to nie jest ważne... To nieoficjalny tekst!

— Prywatnie też nie wolno robić błędów. Siadaj! A ten błąd z bibuły zaliczę ci do klasówki...

Wszystkich to rozbawiło, nawet jego. Wrócił do ławki i mruknął do mnie:

— Coś mnie zaczynasz drogo kosztować... Będę musiał jeszcze dopisać do tego wypracowania z pół strony, żeby nadrobić stratę!

Wyszliśmy z klasy tego dnia dopiero po siedmiu lekcjach, bo jeszcze nam chór dołożyli za karę, że z poprzedniego połowa się ulotniła. Wyjątkowo nikt nie biegł na łeb na szyję do szatni, wszyscy byli zmęczeni, nawet dziewczynom nie chciało się rozmawiać. Mijaliśmy po drodze maluchy, które schodziły się na zbiórkę zuchową. „Im to dobrze, są już po obiedzie!" — myślałem z zazdrością, bo aż mnie skręcało z głodu.

Malcherczyk zatrzymał się na chwilę, bo spotkał swojego małego brata, który mu przekazywał klucz od mieszkania. Zawsze uprawiali taką sztafetę z tym kluczem, jak nie w szkole, to na ulicy, albo szukali się obydwaj po całym mieście.

Szedłem za Irką, ale w szatni zgubiłem ją z oczu. Usiadłem więc na ławce, sięgnąłem ręką po buty — i dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, w jakiej jestem sytuacji. Dlaczego nie założyłem rano innych butów? Nie pomyślałem o tym. I co teraz? Jak ja zawiążę narciary jedną ręką i do tego lewą? A przedtem trzeba je jeszcze zasznurować... Gdyby to chociaż były buty z metalowymi skuwkami, a nie — jak na złość — zwykłe, z dziurkami, przez które trzeba przeciągnąć postrzępione na końcach sznurówki.

Ze złością spojrzałem na swoją prawą rękę — nie było mowy, żeby odwinąć bandaż chociaż z palców: posklejany był z zewnątrz plastrem. A zresztą, kto by mi to potem zawinął? Przez wszystkie lekcje ułatwiała mi życie ta zabandażowana ręka, nic nie musiałem pisać, klasówki też. Ale teraz byłem wściekły, na wszystkich: na tego, kto mnie podciął na lodzie, na lekarza, który mnie tak opakował, na Malcherczyka, że gada tam na schodach z bratem, jakby się miesiąc nie widzieli, a tutaj jest potrzebny.

W szatni zaczynało się już przerzedzać, większość powychodziła. Zostało jeszcze parę dziewcząt, Kawecki, Fronczak i Lewandowski, który miotał się po szatni, szukając swojej czapki. Nie mogłem dłużej siedzieć bezczynnie i gapić się we własne buty. Zacząłem się z nimi męczyć.

W żaden sposób mi nie szło, to była robota na miesiąc. A jeszcze jak się człowiek denerwuje! Spociłem się cały, włosy mi co chwilę spadały na oczy, bo pochyliłem się aż do samej podłogi, żeby lepiej te dziurki widzieć. W szatni nie było wcale tak widno. Raz dźgałem sznurówką, raz ją próbowałem wyciągać, wyskubywać z drugiej strony dziurki, to znów poprawiałem włosy... A wszystko to jedną, lewą ręką. Męczarnia...

Nagle ktoś stanął pomiędzy mną a oknem, zasłaniając mi jeszcze tę resztę światła.

— Odsuń się, do cholery! — krzyknąłem i podniosłem głowę, żeby zobaczyć, kto taki mądry.

Przede mną stała Irka, już ubrana. Cofnęła się o pół kroku:

— Przepraszam... — mruknąłem. — Myślałem, że to Fronczak robi kawały... A przecież tu ciemno!

— Poczekaj, pomogę ci! — powiedziała. I zanim w ogóle zdążyłem się zorientować, co ona chce zrobić — przykucnęła obok mnie i zabrała się do sznurowania moich butów.

W jednej sekundzie zrobiło mi się zimno, nie wiem czemu, ale właśnie zimno. A potem — bardzo gorąco. Czułem, że robię się czerwony, jakbym wyskoczył z ukropu.

— Daj spokój... Irka! Co ty?

Zawiązała mi jeden but, podniosła głowę i uśmiechnęła się:

— Przecież sam nie dasz sobie rady... Widziałam, że ci nie idzie...

Żadne rozsądne słowo nie przychodziło mi do głowy. Jak jej powiedzieć, że przecież nie powinna tego robić? Że zaraz przyjdzie Malcherczyk... No, że to wstyd tak na oczach wszystkich. Dziewczyna — chłopcu? I to właśnie ona... Jak jej przeszkodzić? Przecież nie mogę odepchnąć jej i krzyknąć: „Odczep się, daj mi spokój!"

A może nikt tego nie zauważy? Nie, wiedziałem, że to niemożliwe. W szatni ucichł gwar, pewno wszyscy teraz patrzą na nas... Bałem się podnieść głowę, opuściłem ją jeszcze niżej...

Z przedsionka dobiegł głos Lewandowskiego:

— No, jest nareszcie ta czapka! Irka, chodź, bo nie dostaniemy biletów... Irka! Gdzie ty jesteś?

Teraz podniosłem głowę. Widziałem wytrzeszczone ze zdumienia oczy Kaweckiego, głupią minę Fronczaka... Zośka Skowrońska uśmiechała się, Milecka patrzała we mnie tak, jakby diabła nagle zobaczyła, Danka bawiła się

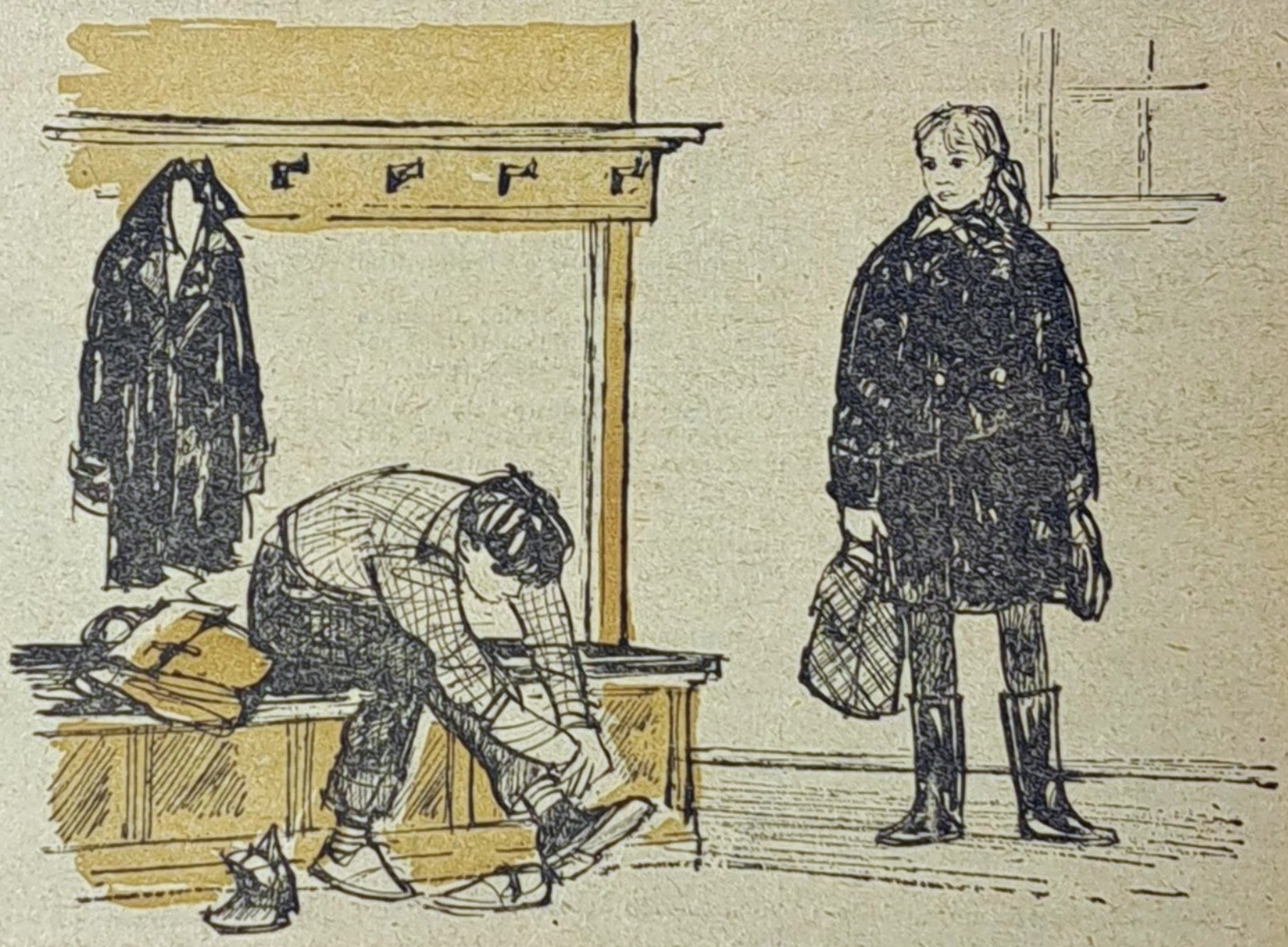

Rys. St. Rozwadowski

swoim warkoczem, nie spuszczając oka z dłoni Irki...

To właśnie Danka pierwsza się odezwała:

— Ho, ho... Jaka miłość! Piękny widok, co?

— Waldek! Chodź szybko i popatrz? — zawołała Skowrońska. — Ucieszysz się...

— Ale heca... — bąknął Fronczak.

Jak na złość, w drugim bucie zerwała się sznurówka i wszystko trwało dłużej. Irka musiała ją wiązać. „Co ona teraz myśli? — przebiegło mi przez głowę. — Taki wstyd! Jak ona teraz pewno żałuje..."

Milecka zaczęła chichotać:

— Dziewczynki! Mamy kino, co?

A na to Irka, dość głośno, tak że wszyscy słyszeli:

— Nie zwracaj na nich uwagi... Co cię obchodzą? Kupa smarkaczy!

— Irka! — wrzasnął Lewandowski. Odsunął dziewczyny i szarpnął ją za ramię tak silnie, że beret jej się zsunął i spadł na podłogę. — Co ty wyprawiasz? Zostaw to! Wynajęłaś się, jako służąca, czy co? Nie wstyd ci? Księżniczka od wiązania butów!

Wstałem. Irka też. Wydało mi się, że zbladła nagle. Powinienem teraz trzasnąć go w gębę, ale tak, żeby wylądował na tamtych wieszakach, pod ścianą. Powinienem rozpędzić tę uśmiechniętą bandę: podnieść jej beret i, jeśli ktoś powie jedno słowo — wcisnąć mu je pięścią z powrotem...

Tak. Powinienem. Pięścią... Co ja mogę zrobić z tą zawiniętą łapą. Co ja wytłumaczę Lewandowskiemu jedną ręką, lewą... Zanim go popchnę, już będę leżał na podłodze. I on wie o tym dobrze. Jest zielony ze złości i zarykuje się śmiechem:

— Służąca! Ale wyszło na wierzch, co w tej tajemniczej Księżniczce siedzi!

Wtórują mu wszyscy. A my stoimy obydwoje bez ruchu. Kawecki zatacza się ze śmiechu. Nie widzę już twarzy, widzę szare plamy... przymykam na moment oczy, żeby jakoś się opanować. I wtedy słyszę koło siebie:

— Artysta! Coś mówiłeś, zdaje się... Nie dosłyszałem.

To Malcherczyk. Nareszcie jest... Teraz! Pięć minut temu powinien przyjść, a nie doszłoby do tego wszystkiego. Znowu coś je... mówi do Lewandowskiego z pełnymi ustami. A tamten pogardliwie:

— Powiedziałem: głupia służąca! A ty — czego?

Malcherczyk odepchnął mnie, stałem mu na drodze. Przełknął i podszedł do Lewandowskiego bardzo blisko.

— Ja? Nic. Przeproś ją...

Śmiech Kaweckiego ucichł raptownie. Fronczak wycofał się pod okno, dziewczyny patrzyły na Malcherczyka ze zdumieniem. Tylko Milecka wciąż chichotała.

— Daj mu spokój... — powiedziała Irka. — Nie warto...

Malcherczyk nie zwracał na nią uwagi.

— Przeprosisz? — spytał.

— Nie!

— Nie? — w głosie Malcherczyka nie ma teraz na pozór ani cienia złości, tylko jakby wielkie, olbrzymie zdziwienie. — Nie przeprosisz jej?

Błyskawiczny ruch ręki. Lewandowski leci metr, dwa... Odbija się od Fronczaka. Malcherczyk znowu jest koło niego...

— Co tu się dzieje? — słyszymy wszyscy od drzwi głos woźnego.

To nasz stary woźny, Krukiewicz, znamy go od lat i on nas zna od małego. Wie, o co poszło, czy dopiero teraz wszedł?

— Nic specjalnego się nie dzieje, panie Krukiewicz! — odpowiada mu Malcherczyk. — Artysta dostał po buzi...

— Malcherczyk! Znowu się rozbijasz? Do pana kierownika! Ale już!

— Zaraz idę... — mówi Malcherczyk, odwraca się do Krukiewicza... i nagle z powrotem szybki półobrót. Słychać suchy trzask. Lewandowski dostał w twarz z drugiej strony. Nie spodziewał się tego; nie zdążył się nawet zasłonić. Stoi teraz z głupią miną, jakby nie wiedział, co się właściwie wydarzyło.

— Dobrze, że sobie przypomniałem — mówi Malcherczyk do mnie. — Ten drugi raz to od ciebie. Jak ci zdejmą bandaże, to mu dołożysz!

— No już, idziemy do kierownika — woźny kładzie mu rękę na ramieniu i popycha przed sobą.

C. d. n.

CZWORONOŻNY DETEKTYW

- **DOX URATOWAŁ SPOD KÓŁ SAMOCHODU DZIECKO.**
- **DOX PODCZAS POTWORNEJ ZAMIECI ODSZUKAŁ ZABŁĄKANEGO W GÓRACH NARCIARZA.**
- **DOX, RANNY, NA TRZECH ŁAPACH DOPĘDZIŁ UZBROJONEGO BANDYTĘ I OBEZWŁADNIŁ GO.**

O TO NIEKTÓRE z czynów niezwykłego alzackiego owczarka, psa pełniącego służbę w rzymskiej policji kryminalnej. Czworonożny detektyw odszedł niedawno na zasłużoną „emeryturę" mając na swym koncie czterystu ujętych przestępców, sto sześćdziesiąt stoczonych z nimi walk, kilkanaście ran, cztery złote medale i dwadzieścia srebrnych.

Jedną z najciekawszych przygód Doxa, była **„sprawa urwanego guzika"**. Bandyta ukryty w podziemiach Principe Theatro, przedostał się do sklepu jubilerskiego. Przyłapany przez strażnika stoczył z nim krótką walkę i uciekł. Wezwano Doxa, który obwąchał ubranie strażnika i bez wahania poprowadził policjanta daleko na przedmieścia, do suterены niewielkiej kamienicy. Rzeczywiście nocował tu jakiś człowiek, który jednak najsolenniej zapewniał, że o niczym nie wie.

Wydawało się, że mówi prawdę, ponieważ strażnik nie rozpoznawał w nim włamywacza. Polecono więc Doxowi powtórnie obejrzeć sklep. Dox szczeknięciem potwierdził odbiór polecenia i pobiegł do jubilera. Tu po krótkich poszukiwaniach znalazł guzik, podniósł go i podał policjantowi. Później zaszczekał i popędził z powrotem do suterены na przedmieściu. Tym razem zainteresował się szafą. Otworzył ją, wspiął się na tylne łapy, zębami zdjął z wieszaka płaszcz i przytargał go do swojego pana. Skrawek materiału przy znalezionym w sklepie jubilera guziku, doskonale pasował do dziury w płaszczu. Przestępca został aresztowany.

Dox jest chyba jedynym na świecie psem, który potrafi, nie powodując wystrzału, rozładować pistolet. Robi to po mistrzowsku. Najpierw, zgodnie z regulaminem wojskowym, zabezpiecza go, później otwiera, a wreszcie przy pomocy łap i zębów wyciąga naboje. Mistrz czworonożnych detektywów potrafi też uwolnić skrępowanego sznurami człowieka.

(Wg. „Niedieli")

Przygoda z niedźwiedziem

● Nad brzegiem górnego Amuru pracujący w lesie drwal Kamajew usiadł na pieńku, aby wymienić przemoczone buty. W pewnej chwili niespodziewany cios powalił go na ziemię. Gdy oszołomiony poderwał się z ziemi, ujrzał przed sobą stojącego na dwóch nogach niedźwiedzia. Kamajew wziął nogi za pas i pomknął przed siebie. Pracujący obok dwaj inni drwale, widząc tę scenę, zamknęli się w kabinie traktora, a miś wystraszony hukiem silnika, poszedł dalej i natknął się na drwala Paczurowskiego. Zaskoczony tym spotkaniem drwal, niewiele myśląc, wdrapał się na drzewo, ale miś powędrował za nim. Wystraszony Paczurowski usiłował bronić się kopniakami, niedźwiedź zdarł jednak mu buty i nie zamierzał ustąpić.

Nie wiadomo, jak by się skończyła przygoda z królem tajgi, gdyby nie pies drwali, który ujrzawszy wychodzące z gąszczu dwa małe misie zaczął je gwałtownie obszczekiwać. Mama-niedźwiedzica szybko zsunęła się z drzewa i całą trójka zniknęła w leśnej gęstwinie.

SOŁCZAK — wielki myśliwy

SOŁCZAK OGŻIMAIDAN mieszka w niewielkiej wiosce na północy Mongolii. Choć chłopak ma dopiero 12 lat, wszyscy nazywają go wielkim myśliwym.

Pewnej nocy zakradł się do kurzej fermy lis i zadusił kilkadziesiąt kur. Przez dwie następne noce historia powtórzyła się. Pracownicy fermy, uzbrojeni w dubeltówki, przygotowali zasadzkę na rudego rozbójnika. Lis przechytrzył jednak ludzi i zakradłszy się do kurnika z drugiej strony, znów uczynił w nim spustoszenie.

Wówczas to Sołczak zgłosił się do brygadzisty i powiedział:

— Pozwólcie mi, ja szybko załatwię się z lisem...

— Jak ty chcesz to zrobić? — spytał z niedowierzaniem brygadzista. — Nie masz przecież broni, a ja ci jej nie dam...

— Obejdę się bez strzelby — odpowiedział tajemniczo chłopiec.

...Po lekcjach Sołczak został w szkolnej pracowni i do późnego wieczora coś w niej majsterkował. Potem, z pomocą swego przyjaciela Ojfy, rozstawił wokół fermy sporządzone przez siebie pułapki. Nad ranem znaleziono w nich sześć lisów...

Od tej pory ani jeden lis nie zakradł się już do kurzej fermy, a pomysłowego chłopca mieszkańcy wsi nazwali — wielkim myśliwym.

(jk)

Następny numer dojdzie do Waszych rąk normalnie, tj. w piątek 31.III.1967 r.

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-13-61 Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa". WARSZAWA ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty

Zam. 380. T-40

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24

TYTUS ROMEK i A'TOMEK

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

LOGOGRYF

Do kratek wpiszcie jedenaście wyrazów o podanym znaczeniu. Pierwsze litery w oznaczonym rzędzie tworzą rozwiązanie. W rozwiązaniu należy podać wszystkie wyrazy.

Znaczenie wyrazów: 1 — lewy dopływ Wisły; 2 — gatunek wierzby; 3 — rzeka na Półwyspie Iberyjskim; 4 — tytuł oficerski w dawnym wojsku tureckim; 5 — zwierzę, żyje w Tybecie i Palmirze; 6 — ruch płynu; 7 — rzeka w Polsce; 8 — utwór poetycki, w którym wyrażone są wzniosłe uczucia; 9 — część meczu w tenisie, siatkówce, ping-pongu; 10 — dopływ Warty; 11 — dopływ Wołgi.

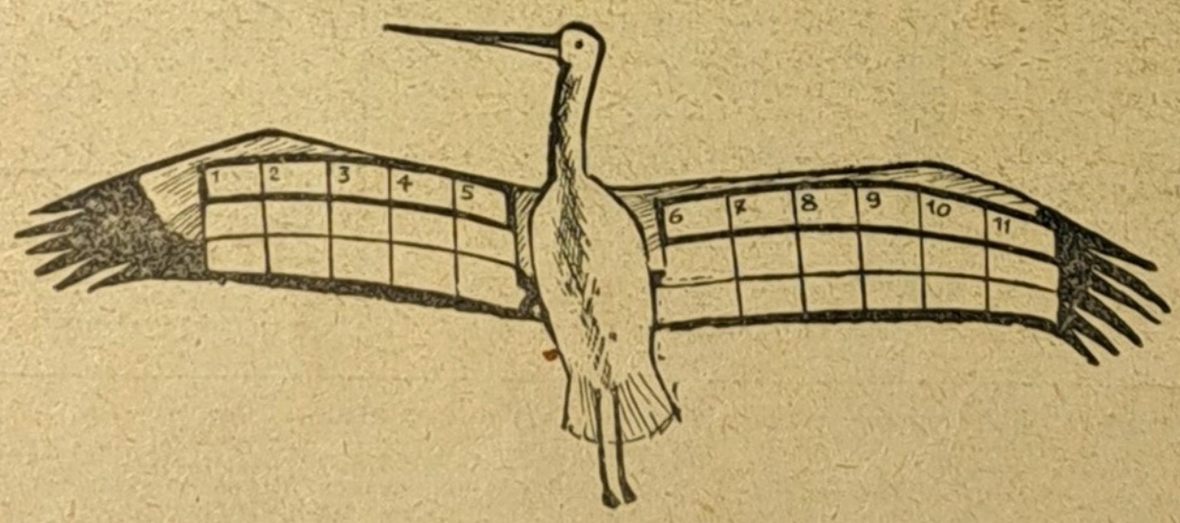

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie lub karcie pocztowej: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga: Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

ŁAMIGŁÓWKA

Jak podzielić babkę wielkanocną trzema cięciami noża na osiem części?

Rozwiązanie należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie lub karcie pocztowej: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.